Czytelnia Czasopism
BN O PAN
UMCS
LUBLIN
czas. 2552/1979/11

DNI NAŁĘCZOWA

str. 6

ŻYCIE Z CYRKIEM

Bronisław Kowalski str. 12

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 27 V 1979 NR 11 (679) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Rodzina Karczmarczuków Fot. Stanisław Lipczyński

GNIAZDO RODZINNE

Tadeusz Jasiński

ZYGMUNT Karczmarczuk wzbrania się szerzej rozmawiać, gdy usiedliśmy w ich obszernym mieszkaniu przy Infułackiej, ale wyczuwam, iż jest mu miło, że pochlebia mu opinia przełożonych z Zamojskich Fabryk Mebli, gdzie oboje z żoną, Bożeną, pracują.

Urodził się po wojnie liczy trzydzieści trzy lata, żona — młodsza o rok. Ona jest lakierniczką, on starszym mistrzem w tym samym wydziale, ale pracują na różnych zmianach, tak, aby zawsze jedno pozostawało w domu przy dzieciach, których mają czworo. Pojmuję, że pan Zygmunt, mimo tych wstępnych zastrzeżeń, w rzeczywistości ma poczucie swojej wartości, a także i tego, że takim zupełnym przypadkiem moja u nich obecność nie jest. Bez przekonania jednak jeszcze się broni: — Zwierzchnik może więcej powiedzieć niż ja sam o sobie. Wiele rodzin u nas jest podobnych, nasza fabryka to zakład rodzinny...

Tak, ale przedtem już kierownik zakładu, w którym pracuje, Antoni Galka, a także obaj sekretarze Komitetu Zakładowego PZPR, mówili mi, że Karczmarczuk nie poprzestał na tym, co uzyskał w pierwszej młodości. Po szkole zasadniczej rozpoczął pracę, ale zdobył dyplom mistrza w zawodzie, następnie w soboty i niedziele uczęszczał do Technikum Przemysłu Drzewnego, zdał maturę, aby dorównać funkcji, godności starszego mistrza. Na zmianie podlega mu czterdzieści osób. Są okresy, gdy nadzoruje pracę nie tylko w lakierni, ale i w szlifierni, wtedy liczba robotników się podwaja. Jest też członkiem egzekutywy oddziałowej organizacji partyjnej, ofiarnym pracownikiem i dobrym organizatorem produkcji. Jest również dobrym opiekunem rodziny.

Dokończenie na str. 4—5

Gdybym był dzieckiem

NIEDAWNO dowiedziałem się od pewnej rozsądnej osoby, która zajmuje się pedagogiką, że najzwyklejszy placyk zabaw dla dzieci, znajdujący się między blokami niemal każdego z osiedli, spełnia aż pięć doniosłych funkcji w życiu dzieciarni. Nie wiadomo jednak czy rodzice, bo maluchy na pewno nie, zdają sobie z tego sprawę.

Pierwsza z tych funkcji nazywa się — rekreacyjna. To dosyć jasne sformułowanie dla każdego. No, ale na przykład funkcja stymulatywna? Nieco trudniejsza do rozszyfrowania, mimo że tak nazwano nabywanie przez dziecko, bawiące się na placyku siły, zręczności, gibkości, koordynacji ruchów itp. A więc i to jest oczywiste. Placyk spełnia poza tym funkcję kompensacyjno-wychowawczą. Istnienia tej z kolei funkcji trudniej już podejrzewać nawet komuś, kto ma codzienną okazję opiekować się maluchem przy huśtawce. A chodzi tu o fakt, że brzdąc aktywizuje przy zabawie mięśnie, których podczas nauki w domu, czy na lekcjach w szkole nie używa. Ta funkcja ma ustrzec go przed garbieniem się nad ławką, czy stołem, a także zapobiegać między innymi tzw. chorobie telewizyjnej. Jakie dolegliwości nazywane są „chorobą telewizyjną", dowiem się niebawem, ale na razie przypuszczam, że zaczyna się ona w momencie zakupu owego cudu techniki. Inne zjawisko, a mianowicie to, że dzieciak biegając między blokami, nie czyni sobie owej rozrywki sam, lecz przeważnie w grupie, to już zakres funkcji socjalizacyjnej. A piąta z nich, funkcja kreatywna, zapowiada się najciekawiej, bo ponoć polega na rozwijaniu w dzieciach wyobraźni przy zabawach na placyku.

Gdybym był dzieckiem i posiadał powyższą wie-

Dokończenie na str. 4

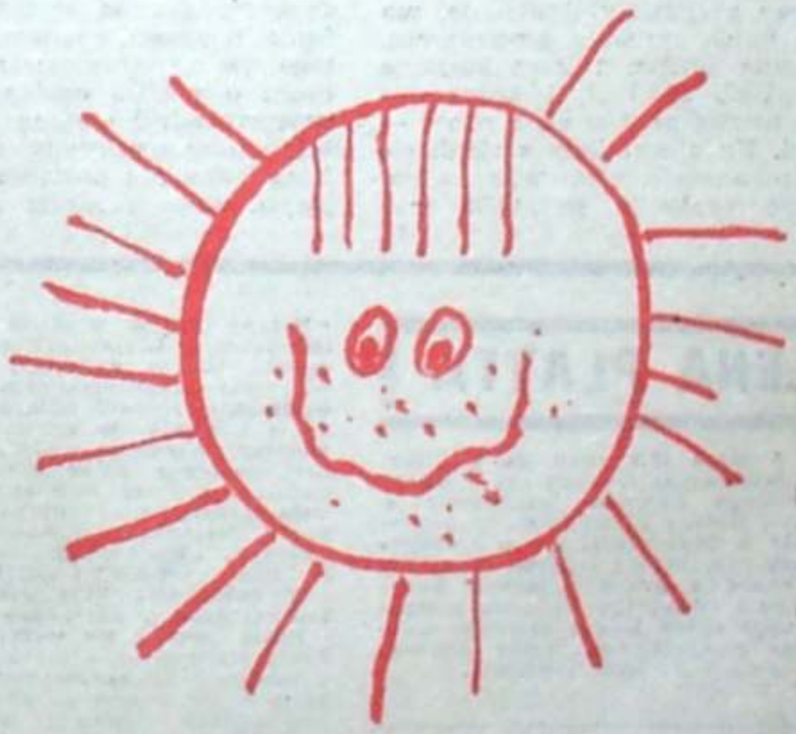

Rys. Konrad Koziowski

z notatnika

16 V. Wróciłem z Zamościa i Biłgoraja. Miałem spotkania z czytelnikami, przeprowadziłem też interesujące rozmowy z przedstawicielami miejscowych władz. Sądzę, że kilka tematów, o których była mowa, warto uwzględnić w planie redakcyjnym „Kameny".

Rynek zamojski rozgrzebany, na pierwszy rzut oka wygląda, że przez centrum miasta przeszedł tajfun, który pozrywał dachy, powybijał szyby. Ale praca wre, całość prac renowacyjnych, chociaż to określenie jest zbyt mało adekwatne, ma być wykonana do kwietnia 1980 roku, kiedy to Zamość będzie święcił swój wielki jubileusz. Czasu nie jest wcale tak wiele, skoro Stary Zamość chce być n o w y m, ucywilizowanym — z kanalizacją, z centralnym ogrzewaniem, etc...

Józef Lis, z którym kiedyś, gdy pracował w „Sztandarze Ludu", niekiedy kruszyliśmy (sympatycznie!) kopie, rządzi teraz „Wspólną Pracą", pismem międzyzakładowym. Redakcja wkrótce wprowadza się do... „Domu Prasy". Pod tym względem Zamość wyprzedził Lublin. Redaktor naczelny „Wspólnej Pracy" też ma obszerniejsze mieszkanie niż redaktor naczelny „Kameny", ale za to psa znacznie mniejszego. Gawędzimy przy żytniej, ale raptowne majowe ocieplenie konsumpcję raczej utrudnia. Poznaję bliżej miejscowe stosunki, wiem, kto jeździ ładą a kto maluchem, komu nową ładę uszkodzono w Lublinie i kto sam sobie ładę uszkodził w Zamościu. Pada nazwisko jednego miejscowego podgryzacza, no ale gdzie tych typów nie brakuje? W nowym województwie podgryzacz może jednak poczynać sobie śmielej. Nim się władze zorientują, z kim mają do czynienia, potrafi popsuć nieco krwi. Samo życie.

17 V. Za naszym osiedlem im. Sienkiewicza na LSM-ie pługi zaorują ziemię. Przed niecałym rokiem — pisaliśmy o tym w „Kamenie" — miano tu stawiać domki jednorodzinne. Budowa spotkała się z protestem mieszkańców. Bronisław Kowalski zrelacjonował przebieg burzliwego zebrania na łamach „Literatury". Ostatecznie materiały budowlane zabrano i powrócono do pierwotnej koncepcji — za osiedlem będzie tylko park. No i chwała!

18 V. Wręcz znakomity numer „Polityki"! Jeden temat zainteresował mnie szczególnie. Danuta Zagrodzka omawia sprawę wyjazdów zagranicznych Polaków. Podróżujemy niby wiele, ale w tzw. aktywności turystycznej, mierzonej stosunkiem wyjazdów do liczby ludności, przegrywamy z innymi. Na każde 100 mieszkańców z NRD wyjeżdża za granicę 75, z Czechosłowacji — 64, z Węgier — 44, z Polski — 36. W ub. r. zmalał ruch do wszystkich krajów socjalistycznych (z wyjątkiem Rumunii) o 10 proc., dokładnie o 1,3 mln osób, zniechęcili się przede wszystkim turyści indywidualni. (W tym miejscu dodam, że pewien wpływ mogła mieć na to pogoda, tak kapryśna w ub. r.) To, że Polak otrzymuje coraz mniejsze przydziały dewizowe, ma związek z naszą sytuacją gospodarczą. Od 1 stycznia 1978 r. 1 lewa kosztuje obywatela PRL 27,55 zł, 1 korona — 2,66 zł, 1 marka aż 8,30 zł, 1 rubel — 26,60 zł itd. Kurs wymiany zmienił się na naszą niekorzyść. Ponieważ kwota, którą wolno wymienić, jest tylko nieznacznie wyższa — obecnie 7 tys. zł co dwa lata — wyjeżdżając mamy coraz mniej pieniędzy. Tymczasem również w bratnich krajach ceny nie stoją w miejscu. Ograniczenia finansowe przy słabym wciąż zaopatrzeniu krajowego rynku w niektóre towary stwarzają pokusę, żeby i te małe sumy mocno trzymać w garści i zamiast na colę czy kawę wydać na sweter albo buty. Jest to sytuacja nieprzyjemna dla każdego z nas z osobna i dla kraju, jako całości. Rodzi też wszystkie te ujemne zjawiska, o których tyle się mówi i pisze, niewiele wnikając w ich przyczyny — czarny rynek, przemyt, pokątny handel.

Kolejny problem to komunikacja. W GKT mówią, że bardziej już biega się za miejscówką do Bułgarii niż za promesą dewizową. W tym roku PKP i biura turystyczne nie przyjmują żadnych rezerwacji na powrót z Bułgarii, więc można sobie wyobrazić, co się będzie działo...

Osobna sprawa to koszty wycieczek orbisowskich. W sezonie pobyt na Jalcie (autorka nie pisze, jak długi, przypuszczalnie dwutygodniowy lub nieco dłuższy) kosztuje 14 tys. zł, w Warnie (pociągiem) 12 200 zł, w Dubrowniku — 15 500 zł. A my myślimy o pobycie wypoczynkowym dla średnio zamożnej rodziny, która oszczędzała może przez wiele miesięcy, żeby raz wygrzać się nad ciepłym morzem.

Czy w tej sytuacji nic już nie można zrobić? Dyr. Kawalec z Biura Podróży „Orbis" uważa, że można, pod warunkiem, że zmieni się całkiem koncepcję, organizację, zasady. Że podróże widzieć się będzie nie tylko pod kątem zysku, ale także jako ważny problem społeczny. Nie należy z tego wnosić, że do podróży zagranicznych trzeba dopłacać, byłoby to bez sensu. Chodzi jednak o to, żeby rzeczywiście wykorzystać wszystkie pomysły i środki, by zwiększyć bazę turystyczną, np. przeznaczając na turystykę dewizową nasze domy wczasowe, a w zamian fundować naszym turystom tańsze miejsca nad Morzem Czarnym czy nawet nad Adriatykiem, podejmować, o czym się mówi, wspólne poczynania w ramach RWPG, nie rozpraszać środków na zakładowe campingi w Bułgarii, ale budować je i wykorzystywać razem pod egidą np. FWP, wykorzystać do przejazdów tysiące autokarów zakładowych, które jakże często stoją w sezonie.

Od siebie dodam, że w połowie września, kiedy żar lał się z nieba, widziałem koło Sozopola w Bułgarii zamknięte na cztery spusty domki campingowe należące do jakiegoś przedsiębiorstwa z Burgas. Sezon w tym kraju w zasadzie kończy się 15 września, ale i w pierwszej połowie października bywa tam niekiedy cieplej niż nad Bałtykiem w lipcu. Jest to też sprawa, co do której można się dogadywać...

W tymże samym numerze „Polityki" dwa listy w sprawie oświaty napisane przez czytelników z Hrubieszowa i Chełma. Jan Kotarski z Hrubieszowa pisze m. in.: „Liberalizacja wymagań doprowadziła do zastraszającego obniżenia poziomu nauczania. Doszło do tego, że np. w pierwszych klasach liceum o profilu ogólnym nie można przeprowadzić według założeń lekcji z tej prostej przyczyny, że znaczna ilość licealistów nie posiadła w wystarczającym stopniu sztuki czytania (prawdziwej)." A Adam Cichowicz z Chełma stwierdza: „Niech wrócą te czasy, kiedy uczeń z oceną niedostateczną na koniec roku szkolnego musiał zdawać komisyjną (nie „cichą") „poprawkę", zaś z dwiema niedostatecznymi w żadnym wypadku nie mógł liczyć na promocję do klasy następnej; kiedy maturzysta z oceną niedostateczną z jednego przedmiotu na egzaminie maturalnym matury po prostu nie otrzymywał, chyba że pomyślnie zdał ją na nowo w całości w roku następnym."

Nic dodać, nic ująć. A swoją drogą jakże wspaniała było szkoła, w której zdawałem maturę! Im więcej czasu upływa od chwili, kiedy ostatni raz zasiadłem w chełmskich murach Gimnazjum i Liceum im. Stefana Czarnieckiego, tym z głębszym wzruszeniem wspominam moich znakomitych pedagogów — Kińczyka, Janczykowskiego, Mrożkiewiczową, Kosibę, Sosnowskiego, Ziębę, a zwłaszcza Zofię Książek, dzięki której po trzydziestu latach z ogonkiem mogę recytować fragmenty III części „Dziadów"...

19 V. Do Wiednia leci się z Warszawy samolotem ponad godzinę. Podróż pociągiem trwa już ponad godzin dwanaście. Kiedy jednak człowiek próbuje porozumieć się ze znajomymi telefonicznie, dopiero zaczyna się kołomyjka! Wczoraj o dziewiętnastej zamówiłem rozmowę. Czekałem cztery i pół godziny. Ponieważ nie lubię budzić ludzi w środku nocy, poprosiłem telefonistkę spod numeru 909, aby przerzuciła tę rozmowę na godziny ranne — między ósmą a dziewiątą. Oświadczyła uprzejmie, że wszystko przekaże koleżance. Rano mój aparat jednak milczał. O dziewiątej piętnaście uciąłem sobie pogawędkę z kierownikiem ruchu centrali międzymiastowej (nr tel. 61-594). „Jak to jest — zapytałem — że z Wiednia otrzymuję połączenie z Lublinem w ciągu minuty, natomiast gdy dzwonię w odwrotnym kierunku nie mogę się porozumieć w ciągu godzin czternastu?" „W Austrii — usłyszałem — nie czeka pan również na samochód". Kierownik zaczął mnie dalej w tym duchu uświadamiać, a potem oświadczył, że zorientuje się i ktoś do mnie przedzwoni. W przeciągu godziny nikt jednak nie przedzwonił. W tej sytuacji znów wykręciłem 909 prosząc o przełożenie rozmowy na godziny wieczorne. Wieczorem jednak zacząłem już załatwiać sprawę inaczej — za pośrednictwem znajomej telefonistki. Zadziałała szybko i skutecznie, za co jej serdecznie w tym miejscu dziękuję. A swoją drogą chyba będę hodować gołębie pocztowe!

20 V. „Sztandar Ludu" doniósł w sobotnio-niedzielnym numerze o decyzjach personalnych, jakie podjęto w związku z poważnymi zakłóceniami w zaopatrzeniu ludności Lublina w mleko i przetwory mleczne. Tego zdjęto ze stanowiska, tamtemu udzielono nagany lub upomnienia. Nie wiem, czy jedynie ci ludzie, których ukarano, winni są zaistniałej sytuacji. W Zakładach Mleczarskich zepsuje się na taśmie produkcyjnej jedna nalewarka i już w ciągu godziny mamy o 8 tysięcy litrów mleka mniej. Wiadomo również, że kuleje transport i że ostatnio noce są więcej niż ciepłe, a droga tego mleka od krowy pod moje drzwi nie jest znów tak bliska. A swoją drogą interesuje mnie, c z y i k o g o p o c h w a l o n o z i m ą, kiedy to, mimo największych śniegów i mrozów, mleka nie brakowało? Interesuje mnie również czy ktoś personalnie może odpowiadać za nagminny brak napojów? W niedzielę rano byłem w pięciu dyżurnych sklepach. Nigdzie nie dostałem niczego. Dosłownie niczego. Wytwórnie lubelskie produkują dziennie około 100 tys. butelek wód gazowych. Miasto liczy ok. 300 tysięcy mieszkańców. Jeśli zawiesi się np. kogoś z WSS w czynnościach służbowych, pozwoli mi to ugasić pragnienie? Rzecz więc nie tylko w decyzjach p e r s o n a l n y c h!

M. A. Jaworski

HELENA PLATTA

DNIA 8 maja 1979 roku do Lublina, jego środowiska literackiego i dziennikarskiego nadeszła wiadomość o śmierci Heleny Platty. Zmarła mieszkała ostatnio w Warszawie, ale w Lublinie zostawiła tylu przyjaciół i znajomych, że Jej śmierć wyrwała z grona żyjących kogoś nam bliskiego i cieszącego się dużą sympatią. Znów ubył spory kawał dawnego Lublina, Lublina pamiętającego czasy międzywojennego dwudziestolecia i PKWN.

Helena Platta urodziła się 16 września 1908 roku w Kiejdanach na Żmudzi. Debiutowała bardzo wcześnie, bo w roku 1924 wierszem zamieszczonym w „Dzienniku Bydgoskim". Studiowała polonistykę w Wilnie i Lublinie. W roku 1937 wydała zbiór wierszy „Kręgi na szkle", w dwa lata później następny zbiór wierszy „Księżycowy Lublin", a przed wybuchem wojny opracowała plenerowe widowisko „Legenda Trybunału". Następne jej książki to „Czerwone akordy", „Dachy Lublina", „Wieki", „Interludia lubelskie" i „Zielony chorał".

W roku 1945 była redaktorką dodatku kulturalnego „ Sztandaru Ludu".

Brała udział we wszystkich przejawach życia środowiska literackiego zaczynając tę działalność od sprawowania funkcji skarbnika w pierwszym po wyzwoleniu zarządzie Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

W roku 1964 otrzymała nagrodę literacką miasta Lublina.

Mimo Jej pod koniec życia nieobecności w naszym mieście trudno wyobrazić sobie nazwisko bardziej lubelskie. Helena Platta nie tylko swoją twórczością, ale również swoją osobą, swoim chętnym udziałem w lubelskich poczynaniach literaturotwórczych wpisała się w panoramę miasta konturem wyrazistym i pamiętnym. Niezwykle żywo interesowała się debiutantami. Nie będzie przesadą, jeśli się powie, że ruch literacki młodych wywiódł się z jej mieszkania przy ulicy Olejnej na Starym Mieście.

Swoją śmiercią miłośnikom dawnego Lublina zamknęła pewien rozdział przeszłości. Ale przeszłości, którą zawsze chętnie otworzymy. Tym bardziej, że Autorka zapisała się we wspomnieniach sylwetką jasną i czystą, taką jakim było jej życie: spokojne, życzliwe ludziom, dalekie od miałkich konfliktów środowiskowych.

Cześć Jej pamięci!

Kamena str. 2

SZPALTA O SPORCIE

MAJ przyniósł nam jak zawsze emocje związane z piękną imprezą organizowaną corocznie przez trzy bratnie organy prasowe „Neues Deutschland", „Rude Pravo" i „Trybunę Ludu". Wyścig kolarski na trasach między trzema stolicami naszego obozu słusznie zajmuje specjalne miejsce nie tylko wśród kibiców kolarstwa, lecz także ludzi nie interesujących się w ogóle sportem lub kolarstwem. A jednak ten jeden wyścig jest tematem rozmów jak żaden inny, powodem powrotu do domu tak, by zdążyć na transmisję z zakończenia etapu. Jego starych zwycięzców — Veselego, Schura, Królaka wspomina się częściej niż zwycięzców w innych dyscyplinach lub w innych imprezach. Jego bohaterowie z ostatnich lat, tacy jak Szurkowski czy Szozda (oraz jadący i w tym roku) Pikkuus są jacyś bliscy wszystkim kibicom stałym i kibicom tylko tej imprezy. Nasuwa się pytaniem, skąd się bierze to zainteresowanie? Nie ma chyba drugiej takiej imprezy kolarskiej, której tyle zainteresowania poświęciłyby środki masowego przekazu. Copółgodzinne meldunki radiowe z trasy Wyścigu, transmisje bezpośrednie w telewizji z każdego finiszu, wieczorne komunikaty o oficjalnych wynikach to na pewno znacznie więcej niż radio i telewizja poświęcają Bałtyckiemu Wyścigowi Przyjaźni, czy Wyścigowi Dookoła Polski.

Wyścig Pokoju to rywalizacja jednakowej liczby zawodników z różnych krajów, nie ma tam obok drużyn krajowych zespołów klubowych, czy regionalnych, które pozwalają gospodarzom na wystawienie większej liczby zawodników. Tu wszyscy mają jednakowe prawa. Tu swoją szóstkę pamięta się łatwiej, niż kilka drużyn, w których ogólnie znani kolarze są rozrzuceni po wielu zespołach.

Ale chyba najwięcej popularności daje majowemu wyścigowi jego nazwa: Wyścig Pokoju. Picassowskie gołąbki na koszulkach liderów drużynowych. Żywe gołębie na metach etapowych. Inne elementy przypominające nazwę imprezy. Wszystko to porywa ludzi, dla których prawo do życia w pokoju jest najbardziej podstawowym prawem człowieka. A wyścig o tym przecież przypomina.

Tegoroczna impreza prawdopodobnie została rozstrzygnięta w jej pierwszej połowie. (Piszę ten komentarz, gdy kolarze jadą do Warszawy). Wydaje się, że Suchoruczenkow jest następną wielką gwiazdą tej imprezy i przejdzie do jej historii obok Veselego, Schura, Królaka, Szurkowskiego. Zwycięzca konkurencji na najlepszego górala, jednocześnie świetny w jeździe indywidualnej jest też autorem indywidualnych ucieczek. Drużyny radziecka i polska są już właściwie poza zasięgiem konkurentów. Ale całkowicie przekonamy się o tym dopiero wtedy, gdy kolarze dojadą do Berlina, a ten numer „Kameny" będzie już w kioskach. Życzymy naszym kolarzom i innym bohaterom trasy Praga — Warszawa — Berlin, by bez kontuzji i awarii dojechali do mety. A mechanikom drużyn, by rowery kolarzy były tak przygotowane, żeby nie mieli z nimi trudności.

Wyścig Pokoju trochę pozwolił nam zapomnieć o nie najlepszej dla nas imprezie: bokserskich mistrzostwach Europy w Kolonii. Jeden złoty medal i dwa brązowe to wynik, który polskim kibicom mówi, że w tej dyscyplinie, kiedyś przysparzającej nam największych sukcesów, zostaliśmy w tyle. I to nie tylko zostaliśmy, bo inni nas wyprzedzili, ale cofnęliśmy się. Brak nam walorów, w których kiedyś nasi bokserzy byli niedościgli: brak polskim pięściarzom pewności w kontrze. A to obok bojowości była nasza najmocniejsza broń. Ale czy jest to powód, by załamywać ręce? A swoją drogą zauważa się chyba i mniejsze zainteresowanie tym sportem, mniejszy napływ chętnych do boksowania. Nie każdy jest Kulejem, który umiał tak walczyć, żeby nie dać się uderzyć, a amatorów otrzymywania ciosów jest coraz mniej. Nasza młodzież staje się bardziej wygodna, mniej się naraża na kontuzje w różnych odmianach walk zapaśniczych, a w zapasach i dżudo notujemy pewien postęp. **igw**

Gospodarka i spory

Z WIESŁAWEM KRALEM PREZESEM OKRĘGOWEJ KOMISJI ARBITRAŻOWEJ W LUBLINIE

ROZMAWIA MACIEJ PODGÓRSKI

— Gospodarkę mamy uspołecznioną, centralnie dysponowaną i planowaną, więc wszyscy pracownicy PRL powinni mieć jednakie cele, wiedzieć, co mają robić i jakich przepisów się trzymać. Nie widać miejsca na spory pośród firm uspołecznionych. Tymczasem państwowy arbitraż gospodarczy jako mediator między jednostkami gospodarki uspołecznionej istnieje w Polsce równo trzydzieści lat i jest ciekawe: czym się żywi? — pytam Wiesława Krala, prezesa Okręgowej Komisji Arbitrażowej w Lublinie.

— Pan objawia zbyt idealistyczne zapatrywania na gospodarkę socjalistyczną.

— Raczej świadomie naiwne, żeby pana sprowokować.

— W każdym razie powinność od realności w stosunkach między jednostkami gospodarczymi dzieli czasem pewien dystans i my dbamy, aby go nie było. Na korzyść powinności, oczywiście.

— Zakres terytorialny waszych działań?

— Województwo lubelskie, chełmskie, zamojskie i bialskopodlaskie. Wszystkie jednostki gospodarki uspołecznionej pozwane z tego terenu. Ostatnio rozstrzygamy rocznie około ośmiu tysięcy sporów.

— Żeby wiedzieć, czy to jest dużo czy mało, dobrze czy źle, musiałbym również wiedzieć, ile jednostek gospodarczych istnieje na tym terenie.

— Ta liczba wciąż się zmienia i nigdy nie zajmowaliśmy się jej ustalaniem. Zresztą są prowadzone różne rejestry. W sądach rejestruje się spółdzielnie, w urzędach wojewódzkich natomiast przedsiębiorstwa, organizacje i stowarzyszenia społeczne. Może urzędy statystyczne będą miały całościowe rozpoznanie...

— Próbowałem się orientować. Każde województwo ma swój urząd statystyczny. Niektóre jednostki gospodarcze posiadają po kilka numerów statystycznych, niektóre jeszcze nie mają w ogóle numerów. I zostawmy ten temat.

— W każdym razie mogę pana pocieszyć, że liczba sporów arbitrażowych nie rośnie. W roku 1977 mieliśmy ich 8208, w następnym zaś już tylko 7979.

— Ale zainteresowani powiadają, że niekiedy trudno się doczekać na rozstrzygnięcie sprawy w arbitrażu gospodarczym, więc jeśli pan się chwali ilością spraw, które wpłynęły...

— Jesteśmy jedyną w Polsce Komisją, która w roku ubiegłym załatwiła wszystkie spory bez żadnych zaległości.

— Jakie bywają spory?

— Przeszło pięćdziesiąt procent na tle przewozu i szkód transportowych.

— Sygnał, iż w naszym transporcie niewesoła sytuacja, o czym zresztą wiadomo.

— Tak. Ujawniają się braki wyposażenia technicznego transportu, zły stan taboru.

— Ale i nie zawsze dokładna praca kolejarzy?

— Też się zdarza. Wadliwy załadunek, złe zabezpieczenie towaru.

— Według przepisów, obowiązek zapewnienia transportu spoczywa na dostawcach. Kolej nie podstawia wagonów, bo na przykład nie ma. Towar nie dociera do odbiorcy. Co wtedy?

— Jeśli odbiorca wniesie sprawę przed Komisję, wówczas obciążamy karami umownymi dostawcę, który może żądać zwrotu strat od kolei, lecz nie w pełnej wysokości, a jedynie określonej odpowiednimi przepisami, z reguły niższej. Tu ujawnia się element ryzyka każdej działalności gospodarczej.

— Gdyby stan transportu był lepszy, nie mówilibyśmy o elemencie ryzyka.

— Być może, lecz w przypadku transportu zawsze można mówić o stratach losowych w rozsądnych granicach. Ustalenie, czy faktycznie doszło do straty losowej, należy do naszej Komisji. Wtedy taką stratę pokrywa PZU. Następna grupa sporów, około trzydziestu procent, dotyczy jakości i terminowości dostaw na rynek, nie związanych z niedomaganiem transportu.

— A związanych z czym?

— Z wadami produkcyjnymi, co dotyczy szczególnie jakości cegły wapienno-piaskowej, eternitu, cementu.

— Tylko kwestia materiałów budowlanych?

— Głównie tak. Czasem też nierealizowanie dostaw z przemysłu lekkiego czy maszynowego.

— Jak się tłumaczą producenci?

— Zasadniczo brakami i jakością surowców.

— Zaczyna to wyglądać na błędne koło, które Komisja musi przecież w pewnym momencie przeciąć.

— Toteż zasądzamy kary od producentów. Ale tu potrzeba dużej cierpliwości i wnikliwości. Bardzo niechętnie idziemy na rozwiązywanie umów między producentem a odbiorcą; proponujemy przesunięcie terminów realizacji umów lub wprowadzenie produkcji zastępczej. Najłatwiej jest bowiem rozwiązać umowę, ale rynek nie może być pusty.

— Kolejna grupa sporów?

— I ostatnia raczej. Z zakresu inwestycji: przesuwanie terminów oddania obiektów lub usuwania wad. Głównie w budownictwie mieszkaniowym i rolniczym. W tym także spory przedumowne. Cała ta grupa liczy około dziesięciu procent spraw.

— Zainteresowały mnie spory przedumowne. Rozumiem tę sytuację następująco: jakaś firma terytorialnie zobowiązana jest przystąpić do budowy określonej inwestycji, ale powiada inwestorowi, że przeprasza i dziękuje za zlecenie, bo nie posiada tak zwanych mocy przerobowych. Inwestor wnosi spór przed waszą Komisję, albowiem zaangażowanie innej firmy wykonawczej podraża przedsięwzięcie.

— Głównie taka sytuacja dotyczy podwykonawców. Jeśli stwierdzimy, że podwykonawca jest rzeczowo i miejscowo właściwy dla danej inwestycji, a wzbrania się przed podjęciem robót, wówczas we własnym zakresie ustalamy treść i termin umowy.

— Ale mocy przerobowych to nie dodaje.

— Pozwala natomiast odpowiedniemu zjednoczeniu na ich przesunięcie w granicach optymalnego rozrachunku gospodarczego, rezygnacji z potrzeb mniej ważnych.

— Słowa te brzmią tak ładnie, że temat można zakończyć. Lecz następna kwestia. Przeżywamy ostatnio częste reorganizacje. Wiadomo, co się stało z przemysłem terenowym.

— W Warszawie i Katowicach nie stało się to, o czym pan myśli.

— Pewne firmy znikają z mapy kraju, powstają nowe. Problem przejmowania majątku i zobowiązań firm likwidowanych. Czy to wam nie przysparza zajęcia?

— Niekiedy tak. Na przykład mieliśmy spór o należności od Powiatowego Przedsiębiorstwa Usług Przemysłu Terenowego w Bełżycach. Wskutek niestaranności w przejmowaniu majątku tego przedsiębiorstwa nie było wiadomo, kto ma płacić jego należności.

— Firmy nie ma, a długi jej pozostały, mówiąc językiem potocznym, i co wtedy?

— Staramy się porozumieć z odpowiednim organem administracji państwowej, żeby ustalił następcę prawnego dla zlikwidowanej firmy i w końcu te ustalenia zapadają.

— Nie chciałbym być w skórze takiego następcy, ale to inna sprawa. Panie prezesie, zauważam w sporach arbitrażowych niepokojący objaw. Czasem strony spierają się o rzeczy oczywiste lub błahe. Jakaś firma jest w sposób oczywisty winna, ale nie chce płacić pokrzywdzonemu kontrahentowi i spór trafia przed waszą Komisję. Dyrekcja i radca prawny firmy winnej twardo obstają przy swoich wątpliwych racjach. Spór przegrywają, płacą kary i koszta sporu. Te ostatnie to dodatkowa strata społecznego grosza. Ale oni się tłumaczą, że bez pieczęci arbitrażu nie mogą zapłacić ani złotówki, traktują orzeczenie Komisji jako wygodną podkładkę.

— Ma pan sporo racji. Zacznijmy od tego, że około jedna czwarta sporów dotyczy kwot do dwu tysięcy złotych, a więc drobnych. Bywają spory o dwieście złotych, gdy koszt najniższy postępowania arbitrażowego wynosi pięćset. Ogólnie obliczamy, iż około piętnaście procent sporów jest zbędnych, strony mogłyby to załatwić we własnym zakresie. Ale czasem i nieżyciowe przepisy finansowe nie pozwalają dyrektorowi spisać na straty dwustu złotych bez uciekania się do środków arbitrażowych. W każdym razie nie ma chyba takiego pieniactwa, jak się panu wydaje. Skądinąd wiem, że Lubelska WDOKP ma rocznie około sześćdziesięciu tysięcy reklamacji, a tylko niewielki odsetek tych spraw trafia przed Komisję.

— Uważam, że o wiele więcej spraw dałoby się załatwić ugodowo, bez ponoszenia kosztów arbitrażu, gdyby była większa koordynacja i wspólnota międzyresortowa czy międzybranżowa. Gdy strony żyją w zgodzie, jest cisza. W odwrotnym przypadku arbitraż ma pełne ręce roboty. Czyż nie tak?

— Nie całkiem tak, ale trochę. Gospodarka to jest, proszę pana, samo życie.

— Uważam także, iż wasza działalność tylko wtedy będzie skuteczna, gdy jej skutki nie pozostaną anonimowe. W końcu nie idzie o to, by strona słusznie przegrywająca spór zapłaciła z pieniędzy państwowych i wliczyła to w swe koszta bez konsekwencji personalnych. Bo wtedy wszyscy ponosimy szkodę, a nie osoby winne.

— Toteż odrębny dział naszej pracy stanowi sygnalizacja nieprawidłowości, o których dowiadujemy się z materiałów rozpraw arbitrażowych. Nie wystarcza nam samo stwierdzenie, że konkretna firma zawiniła i musi płacić. Dochodzimy jeszcze przyczyn owej winy. Dwa przykłady. Wskutek sygnalizacji z naszej strony Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Białej Podlaskiej wypowiedziała warunki pracy i płacy głównemu specjaliście do spraw przygotowania i realizacji inwestycji, zaś Instytut Weterynarii w Puławach udzielił nagany kierownikowi sekcji do spraw pracowniczych w związku z nieprawidłowym dysponowaniem funduszem socjalnym. W ubiegłym roku wysłaliśmy 180 pism sygnalizacyjnych i firmy musiały się do nich ustosunkować, posypały się kary dyscyplinarne. A i z urzędu wytaczamy sprawy, w zeszłym roku pięćdziesiąt: nakładamy kary umowne. Opieramy się na informacjach banku, PIH-u i NIK-u w tym względzie.

— Prewencja poprzez represję?

— Nie tylko. Profilaktyce ogólnej służą sesje publiczne Komisji w zakładach, które ponoszą winę nie zobiektywizowaną przy sporach arbitrażowych. Czasem się kolektywowi takich zakładów otwierają oczy, że dyrekcje niekiedy miewają skłonności pieniacze lub jakiś odcinek działalności gospodarczej przedsiębiorstwa trzeba poddać szczególnej kontroli społecznej. Co miesiąc także wysyłamy władzom informacje o poważniejszych kwestiach gospodarczych, ujawniających się podczas sporów arbitrażowych.

— Tak jakby władze nie znały poważniejszych kwestii gospodarczych, występujących na podległym im terenie.

— Znają, ale nie zawsze we wszystkich szczegółach. Wiadomo na przykład, że inwestycja została zakończona, uruchomiona, wstęga przecięta. Ale nie zawsze wiadomo, że usuwanie usterek ciągnie się miesiącami. Bank informuje tylko o oddaniu inwestycji; o terminach usunięcia wad nie informuje, i my się tym zajmujemy.

— Odczucie społeczne bywa czasem takie, że arbitraż to przelewanie pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej, a obie państwowe. Ile ściągacie rocznie tytułem kosztów?

— Dziesięć milionów złotych. Oczywiście, są to zyski pozorne, których wolelibyśmy nie osiągać. Ale przeoczył pan zasadniczy moment, którego zresztą nie da się ująć w liczby. Ile, dzięki naszej działalności profilaktycznej, spraw nie wpływa do arbitrażu, ile nieprawidłowości gospodarczych dało się w ogóle uniknąć! No i kwestia, jaką sam pan poruszył, mianowicie precyzowanie personalnej odpowiedzialności za działalność zawodową.

— Panie prezesie, na koniec pytanie może dziwne w odniesieniu do pańskiej instytucji. Tyle mówimy w kraju o potrzebie poprawy jakości pracy. W jaki sposób was dotyczy ten postulat?

— Nikt nie jest zeń zwolniony, my także. Od dwu lat w naszej Komisji prowadzimy indywidualne współzawodnictwo pracy między arbitrami w zakresie wydajności, prawidłowości, terminowości orzecznictwa, a również profilaktyki.

— Czuję, że zamierza pan kogoś pochwalić?

— W zeszłym roku pierwsze miejsce w tym współzawodnictwie zajęła Halina Wołek, następne: Edmund Lecyk i Mirosława Przyborowska.

— Na tle arbitrażu krajowego wypadacie więc...

— Nie najgorzej. Zresztą polskie prawo gospodarcze nie jest złe. Kwestia tylko jego znajomości i poszanowania. Bo ostatecznym celem naszych wysiłków jest właśnie upowszechnienie prawa gospodarczego.

Gdybym był dzieckiem

Dokończenie ze str. 1

dzę, czułbym się fantastycznie dumny, że mój placyk spełnia aż tyle funkcji. Przypominam sobie, iż moje podwórko ze szczenięcych lat nie doczekało się podobnie naukowej klasyfikacji. Pamiętam za to, że nie było wyasfaltowane, zaś huśtawkę, wiszącą na gałęzi rozłożystej jabłoni, stanowiła zwykła deska na grubym sznurku, a poza tym jedna z gospodyń trzymała kury w komórce i gdy kiedyś zarżnęła koguta, on pozbawiony łba fruwał nad krzakami pomidorów i porzeczek. Jaką funkcję spełniało moje podwórko, dając możliwość obejrzenia koguciej śmierci, nie wiem do dziś. Wiem za to, że nigdy potem w dorosłym życiu nie mogłem zarżnąć kury.

Gdybym jeszcze kiedykolwiek był dzieckiem, pozostawiłbym pierwsze cztery funkcje w spokoju, jako oczywiste w zabawach z rówieśnikami na świeżym powietrzu, a zająłbym się tą ostatnią, kreatywną.

Jak twierdzą badacze, ujawnia się ona na placykach, gdzie znajdują się właściwe urządzenia rekreacyjno-zabawowe. Gdyż tylko takie rozwijać mogą zainteresowania i uzdolnienia u dzieci i młodzieży, pobudzać ich dyspozycje twórcze i wyzwalać inicjatywę oraz pomysłowość, także pobudzać do ekspresji wewnętrznej. Podobno dziecko uczyć się może w tych warunkach tworzenia i kształtowania dookólnej rzeczywistości według własnego zamiaru.

Podczas gdy nieudolnie próbowałem wyobrazić sobie, na którym ze znanych mi placyków zabaw w lubelskich osiedlach (jak mniemam, nie tylko w naszym mieście) mogłoby dziecko doświadczyć aż tylu atrakcji, owa wspomniana osoba-pedagog użyła sformułowania „robinsonada". W takim kontekście, że do zabaw w Robinsona Cruzoe czyli w pomysłowego samoradka, nie nadaje się żaden z istniejących placów zwłaszcza w nowych osiedlach.

Jak bowiem zbudować szałas na asfalcie? Skąd wziąć nań gałęzie czy chrust, skoro wokół tylko wypielęgnowane krzewy? W sytuacji, gdy wstęp na nietykalne trawniki jest przestępstwem? A może w piaskownicy, przepędzając trzyletnią smarkaterię? I chyba nie wokół żelaznych konstrukcji huśtawek czy przeplotni?

Robinsonada, podobno pożądana przez dzieci forma zabawy, nawet jeśli nie czytały powieści Daniela Defoe, staje się imaginacją, skoro na współczesnych placykach nie sposób bawić się nawet w chowanego.

Nasze dzieci doświadczają, nie wiem na ile kształcącego, bujania się na ciągle tych samych huśtawkach. A w dodatku urządzenia te są żelazne i maluchom grabieją ręce od trzymania się prętów w nieco tylko chłodniejszy dzień. Doświadczają co najwyżej przesypywania w piaskownicach stale tego samego brudnego piasku, a raczej kurzu. Doświadczają lepienia się bucików do rozgrzanego i cuchnącego latem asfaltu. Dobrze, jeśli zjeżdżalnia nie jest zardzewiała, ale z reguły lądowisko pod nią starannie wybetonowano. Jeśli cudem architektonicznym wprowadza się brodzik lub fontannę na osiedle, to są one również nietykalne i wejść tam nie wolno, lub nie ma po co, bo na dnie leżą puszki i szkło rozbitych butelek.

Specjalnie w nazbyt czarnych kolorach maluję obraz placyków. W nazbyt — bowiem nasze dzieci jakoś się tam bawią wśród żelaznych i betonowych konstrukcji, a nawet wyrywają się ku nim radośnie. Przecież gdybym był dzieckiem, mazałbym kolorową kredą na sinym asfalcie i miałbym niezłą frajdę i wcale bym nie marudził.

Żelazo i beton wyparły stosowane ongiś drewno do dziecięcych konstrukcji rozrywkowych. A przecież w NRD stawia się je drewniane. I w dodatku tamtejsi plastycy i architekci wymyślili kilkadziesiąt najróżniejszych ich modeli i nadal wymyślają. Tylko bowiem w ten sposób można osiągnąć urozmaicenie placów zabaw i uczynić je bezpieczniejszymi. Inna rzecz, że o drewniane konstrukcje trzeba dbać i często je remontować. A to już przekracza możliwości dzieci.

Gdybym był dzieckiem, może wymyśliłbym sobie, żeby placyk pod moim blokiem był nieco inny niż placyk sąsiedni. Może wolałbym swój od cudzego, który ma inne zakamarki, a może chciałbym się bawić dwa placyki dalej, bo ciekawiej? Nie wiem. Na pewno jednak, gdybym miał siedem lat, chciałbym bawić się na innym niż młodszy ode mnie o trzy lata przedszkolak. A gdybym miał cztery lata, nie chciałbym, aby mnie rozjechał swoim składakiem ten dziesięcioletni ważniak z sąsiedniej klatki schodowej. I nie rozumiałbym, że on musi jeździć tam, gdzie my, czteroletni obywatele ciągniemy na sznurkach swe auta, bo nie ma dlań innej drogi.

A poza tym pragnąłbym, gdybym był dzieckiem, aby tato i mama nie byli tacy znudzeni, gdy mnie pilnują przy jednej huśtawce, bo piaskownica zajęta. Chciałbym, żeby oni też mogli się ze mną pobawić czasem, nie tylko w lepienie babek czy turlanie piłki na jednym metrze kwadratowym, ale choćby w sklep z drewnianą ladą, albo w dom pod śmiesznym daszkiem z listewek, albo w kręgle, albo przynajmniej w Robinsona lub w Bolka i Lolka wśród pagórków na trawniku.

B. K.

Wśród dzienników lubelskich

NIEJEDEN z czytelników pamięta zapewne marcową wystawę dzienników lubelskich, urządzoną w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Politycznych przy Krakowskim Przedmieściu przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. H. Łopacińskiego. Ekspozycja była skromna, bezpretensjonalna, pozbawiona efektownych ozdobników plastycznych, ale jej zawartość mogła satysfakcjonować i prasoznawców i ludzi po prostu żywiej reagujących na to, co lubelskie. Niemal 30 tytułów poświadczało, jak odległe i różnorodne tradycje ma lubelski ruch wydawniczy, związany z bezpośrednim uczestnictwem w życiu społeczno-politycznym, gospodarczym i kulturalnym miasta od początków minionego stulecia do dziś.

Wystawę otwierał „Kurier Lubelski" Jana Czyńskiego, wychodzący na przełomie lat 1830/31 i w spokojnej tonacji zachęcający do powstania listopadowego. Jego późniejszy imiennik, założony w 1865 roku, po trzynastu latach istnienia połączył się z „Gazetą Lubelską", wydawaną i redagowaną przez znakomitego Leona Zaleskiego, który z nerwem prowadził to „pismo rolniczo-przemysłowo-handlowe i literackie" aż do 1884 roku. Swoim podtytułem dziennik sygnalizował orientację pozytywistyczną, zgodną z duchem czasu.

Jako wydawnictwa szczególnie dziś eksploatowane przez badaczy regionalnych zwracały uwagę takie tytuły, jak „Ziemia Lubelska", „Głos Lubelski" i „Express Lubelski", stanowiące bogate źródło informacji przede wszystkim o dwudziestoleciu międzywojennym. Z natury rzeczy obok rzeczowej publicystyki pojawiały się w tych pismach wiadomości kuluarowe, dotyczące np. próby opatentowania urządzenia zwanego szatkownicą do kapusty przez znanego później etnografa i malarza. Co tu ukrywać: prasa międzywojenna miała wdzięk niepowtarzalny.

Na wystawie znalazło się też kilka dzienników z okresu PKWN, którym pod względem poziomu publikacji i zakresu serwisu informacyjnego przewodziła „Rzeczpospolita", kierowana przez Jerzego Borejszę, urzędującego w gmachu, gdzie właśnie odbyła się ekspozycja. Bez kontaktu z organem PKWN nie może dziś obejść się żaden chyba historyk narodzin Polski Ludowej.

„Sztandar Ludu" i jego tygodniowe dodatki: „Sztandar Akademika", „Tydzień Literacki", „Kultura i Życie" (1952—1972) oraz nasz ciągle żwawy „Kurier Lubelski" zamykały tę ciekawą wystawę.

Nawet ten fragmentaryczny przegląd zawartości ekspozycji przygotowanej przez dział czasopism zasłużonej instytucji bibliotekarskiej Lublina przekonuje, jakie wartości mieszczą się w jej magazynach. Przypomnijmy jeszcze, że w inwentarzu wspomnianego działu znajduje się 2157 tytułów czasopism, z czego ok. 400 stanowią lublinianа. Dodajmy też, że biblioteka gromadzi ok. 500 tytułów czasopism bieżących.

Te zasoby ciągle rosną. Prasa sprzed lat dociera na ul. Narutowicza 4 różnymi drogami, najrzadziej poprzez aukcje antykwaryczne, jako że na targach tego rodzaju prawo pierwokupu mają Biblioteka Narodowa i „Jagiellonka" — pierwsza nabyła np. unikalne „Pióro" Józefa Czechowicza — najczęściej zaś dzięki inicjatywie prywatnej, jeśli tak można określić indywidualne oferty sprzedaży, składane bibliotece przez mieszkańców Lublina, ale i innych miast. W ten sposób pozyskano np. komplet satyrycznego „Stańczyka" z 1944 roku. Czasami odkrywa się coś nowego podczas okresowej kontroli zbiorów. Jedna z nich ujawniła w starym roczniku warszawskiej „Muchy" dwa egzemplarze czasopism lubelskich: „Satyra" i „Zgrzytów"...

Więc zbiory są pokaźne i cenne, co oczywiście cieszy. Smutek w tym, że to całe bogactwo wręcz pęcznieje w ciasnych magazynach, długo na dodatek czekając w kolejce do konserwacji, którą owszem, przeprowadza się, i to nawet solidnie, ale w zakresie proporcjonalnym do lokalowych możliwości biblioteki, co najmniej skromnych.

Tymczasem czytelnicze zainteresowanie niektórymi tytułami jest tak duże, że gdyby respektowano je bez żadnych ograniczeń, niejeden z dzienników poszedłby w strzępy. Groziło to np. „Rzeczypospolitej", którą jednak w porę wycofano z obiegu, kierując na kilka miesięcy trwającą konserwację. Obecnie wygląda jak nowa, no, prawie jak nowa.

Inna sprawa, że nawet posiadanie najlepszej, najbardziej rozbudowanej pracowni konserwatorskiej nie uchroni wybranych czasopism, przede wszystkim starych i unikalnych, przed stałym lokum w magazynie. Są to pozycje zbyt cenne i kruche, by narażać je — tak właśnie — na kontakt z czytelnikiem. Rzecz w tym, że niektórzy ludzie, na ogół młodzi lubią sobie poswawolić na łamach, wycinając z nich żyletkami interesujące teksty. Przykładem ażurowe strony pewnych numerów „Głosu Lubelskiego". Naturalnie, są to przypadki rzadkie, ale są.

Wyjściem z tej sytuacji są mikrofilmy. „Łopaciński" zamierza wyłączyć z obiegu czytelniczego tzw. ciągi lublinianów, oferując w zamian właśnie ich kopie mikrofilmowe. Jest to całkowicie zrozumiałe, zgodne z tendencjami w światowym bibliotekarstwie, szkopuł jednak w tym, że nasza sympatyczna instytucja dysponuje tylko dwoma czytnikami do mikrofilmów.

No i tą drogą znów dochodzimy do spraw materialnych, technicznych, utrudniających społeczno-kulturalne funkcjonowanie lubelskiej książnicy, która od lat pracuje w warunkach, mówiąc oględnie, kłopotliwych.

I J K

GNIAZDO RODZINNE

Dokończenie ze str. 1

Potwierdzenie tego znajduję niejednokrotnie w ich domu tamtego popołudnia i wieczoru. Właśnie Kasia, która naprawdę na pierwsze imię ma Ania, podbiegła do ojca, aby jej podciągnął i zapiął śpioszki. Inne i podobne życzenia wyraża jeszcze kilkakrotnie; jak to swykle małe dziewczynki — lgnie do ojca. Lgną także Zbyszek i starszy nieco Krzysio, ale już inaczej i nie tak często. Jedynie Jarek, który jest dorosły, bo chodzi do trzeciej klasy, tak jawnie nie okazuje swoich uczuć. Ich matka opowiada właśnie, jak można mu już teraz powierzyć rodzeństwo, nawet na kilka godzin. Jest rozważny. Kupili mu diaskop. Wyświetla braciszkom i siostrzyczce przeźrocza oraz opowiada, czyta bajeczki.

— Siedzą jak trusie, ciekawe są tych niezwykłych zdarzeń. To samo, gdy oglądają dziecięce audycje w telewizji. Jarek i Krzysiek zbierają już znaczki pocztowe, grają w szachy. A z początku robili to tylko dlatego, że tata też lubi filatelistykę i tę grę — objaśnia pani Bożena.

Tak, pan Zygmunt rozgrywał w LKS „Argos" mecze o mistrzostwo województwa zamojskiego, a w Klubie Sportowym „Hetman" w międzywojewódzkich rozgrywkach regionu — o udział w lidze. Drużynowo, wraz z kolegami, trzykrotnie zajmowali pierwsze miejsce, gdy województwo lubelskie było jeszcze wielkie. No i grał korespondencyjnie z szachistami w USA i Kanadzie. O tym dowiaduję się od samego zainteresowanego. Przez pierwszą godzinę rozmowa się jednak nie klei, bo dzieci za nic nie chcą opuścić dużego pokoju, w którym siedzimy. Obcy w ich domu, muszą mu się więc przypatrzyć, pochwalić zabawkami. Zbyszek i Kasia co chwilę wywlekają je z różnych miejsc, przynoszą z innych pokojów.

Widzę, że w mocno przeszklonej szafie kompletu „Padwa", wyprodukowanego w ich fabryce, stoi kilka zestawów kieliszków i kielichów, zielonozłoty serwis do kawy, a niżej jasnobrązowe kamionki z kunsztownym dzbankiem, szklana, przebarwiona ryba, różowa świnka, która — gdy mi dzieci ją podsuną bliżej — okazuje się zarazem skarbonką i to nie pustą. Nie tylko ciężko brzęczy w niej bilon, ale przez otwór przeziera także czerwony banknot stuzłotówki. Z półkryształowego kosza z wszelką obfitością owoców odlanych z plastyku chłopcy i mała wysypują cytryny, groszkę, winogrona, strąki papryki i fasoli, a wszystko jawi się „jak prawdziwe, a nawet ładniejsze". Pośrodku tej samej meblościanki znajdują się dzieła zebrane Prusa, Sienkiewicza oraz inne książki z okresu nauki w technikum. Zamknięte pary drzwiczek kryją podobno również spory księgozbiór na całej długości. W sumie te cztery pokoje i kuchnia są już prawie zagospodarowane, umeblowane, podobnie jak w większości robotniczych rodzin jakiś czas po otrzymaniu mieszkania. Widać duży wysiłek ich obojga, gospodarność. Zamojskie Fabryki Mebli kupiły od spółdzielni mieszkaniowej owe M-5 za ponad 460 tys. złotych, jednak jakie to M?. Powierzchnia wprawdzie 72-metrowa, przestrzeń piękna, ale i niedoróbki przedsiębiorstwa budowlanego, które spółdzielnia pobłażliwie uznała za przeciętne, są wielkie, choć już mocno złagodzone nieustannym majsterkowaniem pana Zygmunta. Za takie pieniądze... Za takie pieniądze powinno było być inaczej, nie warto było i nie należało robić sobie wstydu.

Mimo to Karczmarczukowie są szczęśliwi. Najpierw mieszkali u matki Bożeny, potem w zakładowym bloku przy Lubelskiej, ale na samym poddaszu. Co fabryka wówczas miała, to im dała, teraz uznała, że może pomóc lepiej i na stałe. Ciepło tam było, ale tylko czterdzieści metrów powierzchni.

MARGINAŁKI ZNAD SEKWANY

Śmiecie i psie łajno

KTÓREGOŚ ranka, wszedłszy do kuchni, zobaczyłem siedzącego przy stole Murzyna. Popijał kawę i rozmawiał z gospodynią. Na moje „bon jour" (którym tu szafuje się o wiele szczodrzej niż u nas „dzień-dobrym") odpowiedział: „bon jour. Ça va?" — podając mi rękę. Uścisnąłem czarną dłoń, odpowiadając według tutejszego zwyczaju: „Ça va!" — na tym rozmowa się skończyła.

Po wyjściu Murzyna, zapytałem, kto to jest. „L'employè municipal. — usłyszałem — On pana zna z widzenia." „Zna? — zdziwiłem się — A skąd?" „A, bo on tu u nas ulicę zamiata."

Zamiatacz ulic (czyli „pracownik municypalny") to tu nie byle kto. Nosi zieloną czapkę z piękną odznaką, specjalny kombinezon. Ale chyba bardziej jest tu ceniony le boueur, inaczej mówiąc śmieciarz. Figura zresztą wyżej stojąca w hierarchii społecznej niż zamiatacz ulic. Ma co prawda taki sam uniform, ale za to jeździ „camionem", nosi ogromne rękawice, którymi z miną wielkiego pana zagarnia sprzed domów worki ze śmieciami i stosy odpadków, wrzucając je do specjalnego urządzenia z tyłu samochodu, które ugniata to wszystko na miazgę. A ile przy tym taki pan zarabia na butelkach od wina!

Mimo to śmieciarze strajkują. W czasie kilkudniowego (no, może tygodniowego) ich strajku nie bardzo można było przejść co węższymi uliczkami Paryża, aż wreszcie ściągnięto na pomoc oddziały wojska.

Ale wyobraźmy sobie, co by się też stało, gdyby tak panowie śmieciarze i panowie zamiatacze ulic zastrajkowali na jaki miesiąc, a w dodatku, gdyby ich nikt nie zastąpił. Już to widzę! Wróciłyby czasy średniowiecza. Przechodnie brnęliby w stosach odpadków, potykaliby się na skrzyniach i butelkach, ślizgaliby się w stertach psich i kocich ekstrementów.

Gromady szczurów (mówi się tu, że każdy paryżanin ma swego, tyle że gnieżdżą się — na szczęście! — gdzieś głęboko) buszowałyby w kupach zeschniętego chleba, zepsutego sera, resztek owoców... Wiatr roznosiłby płachty gazet (to niezupełnie średniowieczne...), ulotki reklamowe, papierowe torebki... Sama rozkosz! Do tego zapaszek! A wszystko dlatego, że dwa rodzaje cenionych i poszukiwanych pracowników porzuciły swe zajęcie.

No, może nie tylko dlatego. Także i z tego powodu, że paryżanie są przerażająco nieporządni. Dlatego, że nie ma tu na podwórkach śmietników ani blaszanych zasobników. A w dodatku łatwiej w Paryżu znaleźć 5 franków niż kosz na śmiecie (poza stacjami Metra i przystankami autobusowymi).

Na murach wiszą tu plakaty z pięknym hasłem: „Nettoyer c'est bien... Ne pas salir c'est mieux." — Dobrze jest sprzątać, lepiej nie śmiecić. Dodano tu jeszcze dwa rysunki.: na górnym człowieczek z miotłą zagarnia śmiecie, na dolnym ten sam człowieczek bez miotły wrzuca jakiś drobiazg do kosza na odpadki. Pięknie! Tylko, gdzie te kosze? (No i z czego by żył człowieczek, gdyby mu zabrano miotłę? Chyba nie z wrzucania papierków od cukierków we właściwe miejsce?)

Na przystankach autobusowych są to właściwie zasobniki na zużyte bilety. Nie zmieści się tam gazeta, butelka od piwa, a nawet skórka od pomarańczy: zbyt wąskie otwory. Kosze (też zresztą skromnych rozmiarów i dyskretnie umieszczone) są w Metro, ale już ja widzę takiego Francuza, który biegnie na stację z ogryzkiem czy niedopałkiem w ręku! Akurat!

Nad tymi koszami wiszą napisy: „Ne jetez rien à terre!" — nie rzucajcie niczego („rien" wyklucza użycie „pas" — uwaga dla zecera) na ziemię. A jużci! Kosze sobie — życie sobie. W Metro aż żółto od biletów, pełno papierków, niedopałków, pudełeczek. Mimo to dosyć czysto. Ale dlaczego? Bo szereg razy w ciągu dnia dzielny „pracownik municypalny" przejeżdża po peronach i korytarzach ogromną szczotką owiniętą w wilgotną szmatę.

W Paryżu (gdzie nie robią z owsa ryżu, a z Błażeja — Blaise'a) nie ceni się drukowanego słowa. Bardzo często przedstawiciele stronnictw politycznych, organizacji społecznych albo po prostu agenci reklamowi wtykają przechodniom w rękę jakieś ulotki. Każdy bierze, czyta albo nie i przeważnie... rzuca na ziemię. Bo i gdzie? Ma zaraz biec do Metra? Szukać kosza? A figę!

Paryżanie bardzo lubią psy (koty też). Wyprowadzają je często na spacer, ubierają w sweterki, w nieprzemakalne płaszczyki. Ho, ho! Ale pieski jak to pieski... Tyle że nasze, polskie, mają bardziej cywilizowane obyczaje. Podnoszą łapę pod drzewkiem, pod słupkiem. Skromnie, na boczku. Za to te francuskie! Ojej! Na środku chodnika, pod same nogi przechodniów.

Dlatego też, spacerując tym pięknym miastem, trzeba bardzo uważać, żeby nie wdepnąć w psie łajno. Trzeba pilnie baczyć, by nie przewrócić się na jakiejś skrzynce, butelce, skórce od pomarańczy czy banana. Dlatego częstuje się tu kawą zamiataczy ulic, daje się (na Nowy Rok) sute napiwki śmieciarzom. Bo co by się też stało, gdyby któregoś dnia, tygodnia czy miesiąca porzucili nagle swą pożyteczną dla ogółu pracę? Pracę jakże ważną dla kultury francuskiej, dla urody nadsekwańskiej stolicy...

Błażej

Wojciech Krawczyk

CYTAT Z HERBERTA

Oto nadchodzi jego pora
Cisza studzi emocje
Wypiera ekonomię

Wie że zostanie tu do dnia
Gdy pozna najmniejszą kroplę krwi
Najlżejszy grymas pozornie wygładzonych twarzy

Kiedy przemierza nocą łąkę
Ma świadomość wagi swej ofiary
Składanej leżącym u jego stóp
Na dobrą sprawę jednak
Przedkłada przecież rolę ofiarodawcy
Nad sytuację obdarowywanych
Wzrok gwiazd
Nad ich oraz historii jednoczesne spojrzenie

Pod roziskrzonym niebem
Mozolnie gromadzi fakty
Zamarłe na ustach wykrzykniki
Pauzy
Bolesne znaki zapytania

Kiedyś złoży to wszystko wedle innej składni
Inaczej rozmieści akcenty
Tak
Aby sen legionów w rwącej się do księżyca trawie
Zamknąć po tamtej stronie rzeki
W trzech krótkich słowach

Zupełnie pozbawionych metafory

* * *

Pajacyk wiary i nadziei
Pajacyk klęski i bezsensu
Opuści głowę
Onieśmieli
Pałacyk pełen szarych gestów

Jeszcze podskoczy groteskowo
Rozłoży tekturowe rączki
Klej się wykruszy z łez i potu
Zostanie śliny lepki rozczyn

A pod tron wielki dni i nocy
Ślepka swe mrużąc
Jak to w ciszy
Wbiegną z powrotem
Wciąż taktowne
W kolorach stonowane myszy

— Gołębnik to był, przez okno widać było tylko wrony — stwierdza mama rozbawionej czwórki, która już o nas, dorosłych, zapomniała i rozbiegła się.

Przychodzi też mówić o rodzinnym budżecie, o wpływach, o wydatkach. O tych ostatnich więcej. Pani Bożena pracuje o godzinę krócej, tylko sześć godzin: albo później zaczyna, albo wcześniej kończy zmianę, aby zdążyć do domu przed wyjściem męża do roboty. Czasem się mijają i w biegu powiedzą sobie, co trzeba. Z powodu tych sześćdziesięciu minut różnica w zarobkach jest spora, bywało, że niektóre koleżanki miały o tysiąc więcej, ale i tak otrzymuje od trzech i pół do trzech osiemset pięćdziesiąt. Przełożeni idą robotnikom na rękę, jej również. Robota jest ciężka, ale już zdrowsza niż przed laty. Kiedyś, w starym zakładzie po Zipserze, politurowało się ręcznie.

Pan Zygmunt przyznaje się do około pięciu tysięcy sześciuset złotych razem z wysługą lat i premiami oraz czterystu sześćdziesięciu złotych rodzinnego, więc razem wychodzi im prawie dziesięć tysięcy. Za mieszkanie płacą tysiąc trzysta dwadzieścia dziewięć złotych, to jednak sporo zaraz ubywa, no i na raty trzeba przeznaczyć, na ubrania. Trochę się teraz oszczędzi, bo kupili maszynę do szycia, pani Bożena umie dostosować rzeczy ze starszego na młodszego brata, aby nic się nie zmarnowało, ale też żeby chłopcy chodzili czysto i ładnie. Na zapas nie kupowali niczego, co by im teraz mogło się przydać, bo w gołębniku było ciasno, raczej oszczędzali sobie, bo wciąż mieli na myśli ten dzień, gdy otrzymają pierwsze własne mieszkanie. Sama „Padwa" kosztowała czterdzieści dwa tysiące dwieście, a inne meble i urządzenia? Teraz jeszcze muszą żyć oszczędnie — to wiedzą, to sobie założyli — ale nie bednie.

— No tak — stwierdza matka — człowiek sobie czasem odmówi, ale dzieciom da. Ani dnia bezpłatnego urlopu nie brałam, zaraz po macierzyńskim wracałam do pracy. Gdzie mnie postawią, tam potrafię robić, bo chęć jest i praktyka. Wracam z drugiej zmiany, ale i w te dni, gdy jestem na pierwszej, mam swój wieczór, gdy dzieci już śpią, jest cichutko. Dopiero czuję się wolna. Wtedy mogę uprać im rajstopy, coś narządzić, a Zygmuś też spać nie idzie, tylko dłubie to i tamto, bo źle było wykończone to nasze mieszkanie, a dopiero miesiąc w nim jesteśmy, jeszcze jest co robić. Telewizora się często wyrzekamy, bo trzeba się krzątać i krzątać...

Jest nadto mowa o tym, co potrzebne: biureczko dla Jarka, żeby miał gdzie lekcje odrabiać, do kuchni szafki wiszące, w pozostałych trzech pokojach też różne rzeczy są przewidziane. Z ust obojga małżonków padało kilka razy:

— Odmiana przez to mieszkanie duża, bardzo duża. Parter, wygody. Nic się nie kupowało, tylko to, co potrzebne, teraz są wydatki, ale jak zdrowie będzie, to i pieniądze będą.

A potem znowu o zdrowiu, o tym, że teraz trzeba dobrze dzieci wychować, a jeżeli będą chciały się uczyć, to wykształcić je, wyprowadzić na ludzi. Wreszcie także i o tym, że nieraz trzeba rano stanąć w kolejce, że dobrze jest mieć jakąś znajomość, kogoś z Zakładów Mięsnych, bo oni mają deputat i czasem mogą coś odstąpić. Kiedy Krzysiek pójdzie do pierwszej klasy, oddadzą Anię do przedszkola, a Zbyszka do zerówki, tam najmłodsze zjedzą obiad, starsi w szkole, a oni sami w stołówce zakładowej. Gotować się będzie tylko w niedziele i święta.

Dawniej zmartwienia były, owszem, ale teraz już prawie ich nie ma, a będzie ich jeszcze mniej, w to bardzo wierzą. Kiedy pytam Karczmarczukową, czy wolałaby nie pracować, odpowiada bez namysłu:

— Tym kobietom, które nie muszą robić, ja nie zazdroszczę tego ich wolnego. Jak idę do fabryki, to wiem, że pracuję, a w domu to nerwica — wskazuje głową w stronę sąsiedniego pokoju, skąd słychać głośną zabawę ich latorośli — człowiek by z nimi stale musiał zostać. Przynajmniej jest sprawiedliwszy podział obowiązków między nami: gdybym nie robiła, nie wiadomo, czy by się czego tknął.

Widać, że jest to pogląd przemyślany, wynika z obserwacji tych małżeństw, w których zarabia tylko mąż. W jej słowa wchodzi zaraz solidarnie pan Zygmunt:

— Ona jest dzielna. Gdyby odeszła z fabryki, musiałbym zaraz szukać drugiej roboty, po domach chodzić, naprawy robić, albo co?

Pytam więc o tę jego obecną pracę.

— Brygada jest młoda. Jedni w tym samym wieku, co ja, wielu jest o wiele młodszych. Im kto starszy, tym robotę bardziej szanuje. Dawniej u mnie na wsi człowiek dostał rano krupniku i kromkę chleba, na wieczerzę też kromkę i mleko, a nie narzekał i pracował, robił, co i ile kazali. Dziś i posmarowane, obłożone bardziej smakuje, bo inne czasy... Jako starszy mistrz muszę na tych ludzi wpływać, wychowywać i opiekować się nimi. Tak mówię, ale tylko z niektórymi są czasem trudności. U nas jedni wpływają na drugich, solidarność między nami dość duża, ale mogłoby być lepiej, nigdy nie jest aż tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej, u nas również. I o to się staramy.

Przerywają nam dzieci, bo zbiegły się znowu z podwórza i z sąsiedniej izby. Te z piachu trochę ubrudzone, ale roześmiane, zadowolone, iż nareszcie są takie dni, że można bawić się poza domem. Matka otrzepuje jedno, ojciec drugie. Czynią to z cierpliwością i z wyrozumieniem. Pani Bożena bierze Anię na kolana i zastrzega się, że trochę sobie tu ponarzekała na kobiecy los, ale ona bez tej pracy by nie mogła, i bez tego domu, bez dzieci... Tak rozumie życie. Umęczy się, ale jest szczęśliwa, że one są, że ma dobry cel. Przegarnia włosy córeczki i uśmiecha się:

— Drugie dziecko, myśleliśmy, że będzie dziewczynka, no, chcieliśmy tego, ale był Krzysiek, a potem znów była nadzieja, lecz przyszedł Zbyszek, no, znowu chłopak. Kochane są, ale ile to było radości, gdy tato miał wreszcie swoją córeczkę. Nie dał trącić wózka, chłopców gonił od łóżeczka! — Ona jedna — tłumaczy się młody mężczyzna — ona jedna wśród nich jest, to się należało najbardziej cieszyć i ją ochraniać.

Tadeusz Jasiński

DNI NAŁĘCZOWA

W OSTATNIEJ dekadzie maja odbywać się będą „Dni Nałęczowa" — miasta i uzdrowiska które zajęło swoje miejsce w dziejach literatury i kultury polskiej. Z Nałęczowem wiąże się działalność literacka Żeromskiego i Prusa. W nałęczowskiej Szkole Spółdzielczości wychowywało się w latach okupacji wielu współczesnych działaczy kulturalnych i gospodarczych. Dzisiejszy Nałęczów to — mimo ogólnego rozwoju — ośrodek jak gdyby z przełomu wieków, który potrafił obronić się przed zbytnią urbanizacją i nie zatracił swego uroku — oazy spokoju, zieleni i pamiątek.

Duża w tym zasługa Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa, które właśnie teraz obchodzi siedemdziesięciolecie swego istnienia. Powstałe w 1909 roku Towarzystwo dba o piękno miasta, troszczy się o jego zabytki i broni je przed utratą jego charakteru. Współdziałanie z władzami administracyjnymi i samorządowymi Towarzystwa przynosi rezultaty. Nałęczów pozostaje zawsze sobą. Nie staje się zatłoczonym ludźmi i samochodami kurortem.

Dzieje Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa od jego powstania, gdy prezesem został Władysław Łypasewicz, do dzisiejszego przewodnictwa Jarosława Olejnickiego, znanego plastyka — świadczą, że umiłowanie własnej miejscowości i troska o nią ze strony jej mieszkańców przynoszą dobre rezultaty. Dzięki temu umiłowaniu i trosce można zawsze w Nałęczowie znaleźć spokój i odpoczynek, a jednocześnie spotkać ludzi ciekawych i znanych.

Towarzystwu Przyjaciół Nałęczowa i samemu miastu w dniach ich świąt życzenia rozwoju nie zmieniającego charakteru uzdrowiska składamy z całego serca.

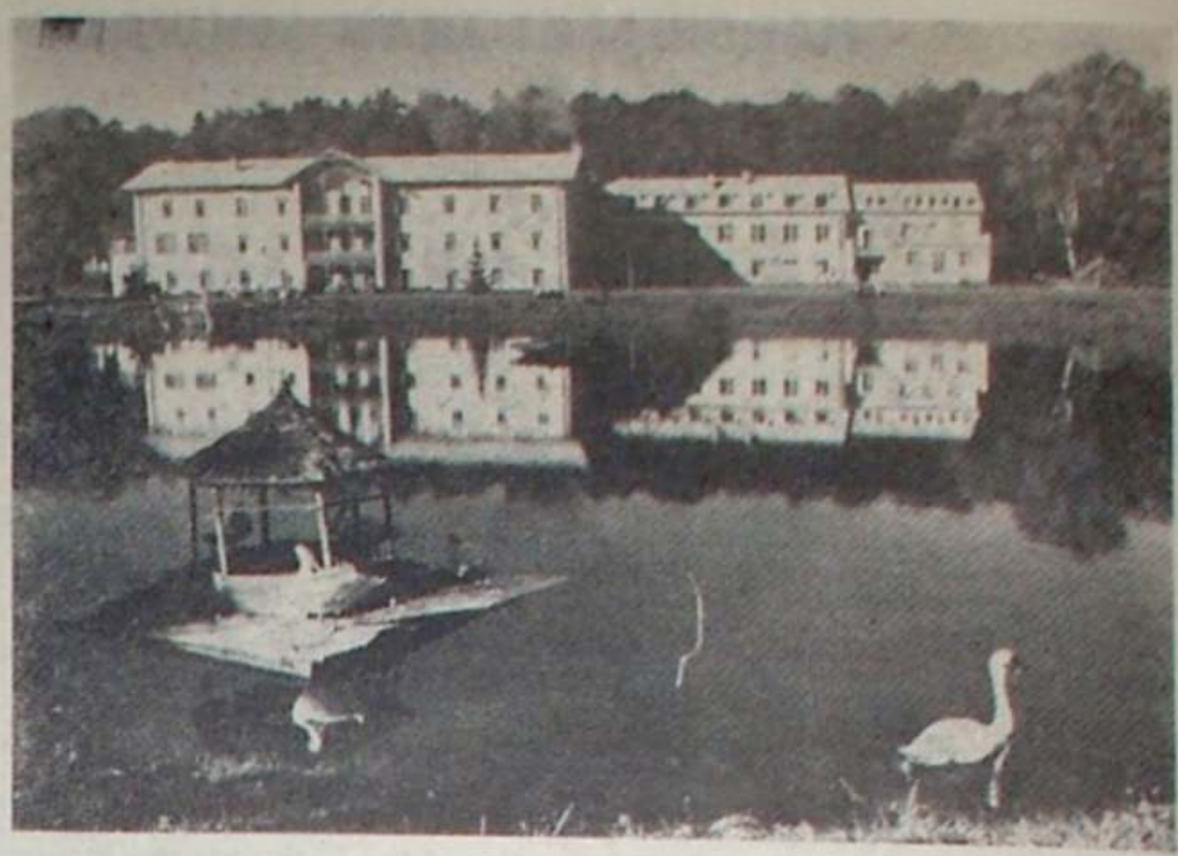

Fot. Jacek Mirosław

SERCU - ZDROWIE MYŚLOM - LOT

Tadeusz Stażek

DO NAŁĘCZOWA jechałem z dużym zaciekawieniem: czy to rzeczywiście — jak mówią — drugie Zakopane? Jechałem pośpiesznym przez Kielce, Radom. To był czerwiec, Wysoki miesiąc, jak nazywają go górale. Słońce podgrzewało ziemię do temperatury, w której czeremcha dymi wiosną, a lot ptaków śpiewa drzewami. Nie było czasu na czytanie gazety, szyby wagonu pełniły jej rolę. Jasność nieba do późnej godziny leżała na ziemi, uplastyczniała jej twarz. Jeszcze w okolicy Puław nieduże jary wśród zagonów żółto świeciły lessem, zarzucone kępami ziół na swych obrzeżach.

Gwiazdy przesiewały chłód, gdy ze stacji spóźnionym autobusem jechałem ku miasteczku. Coraz częściej i bardziej traciłem kontakt z niebem, aż wreszcie, gdy wysiadłem nad wąską rzeczką i szedłem jakąś wskazaną mi ulicą, pogrążyłem się w mrocznej gęstwie drzew.

Rano wytoczyło się znów nad horyzont pełne słońce, ale w powietrzu wisiała burza. Mieszkałem na piętrze w dużym pokoju z balkonem, który zachęcał do rozejrzenia się po okolicy. Przede mną z mniej starannie utrzymanego klombu strzelała w górę brzoza, ogród napełniony był dorodnością warzyw i krzewów, a na obrzeżach stały drzewa przesłaniające cały świat. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że w pięknym domu, w którym właśnie jestem, mieszkał Bolesław Prus. Więc to tu, w tym zielonym powietrzu powstawały rozdziały „Lalki", więc to tu, gdzie ziemia bujnie rodzi owoce, kształtowały się zarysy „Placówki". Nie, w takim otoczeniu pisarz nie może milczeć...

Wyszedłem z domu. Od razu drogę zagrodziły mi róże, setki róż złotych i czerwonych, które jakby tu miały swoją krainę rodzinną, jakby tu kiedyś narodziły się z wielkiej, największej matki — róży, pramatki wszystkich polskich róż.

I już one, te róże, towarzyszyły mi wszędzie. Dobrały sobie trochę innych, bardzo kolorowych kwiatów, dopuściły do siebie bratki, goździki i złocienie, ale przede wszystkim same zajęły grzędy, poletka, przyuliczne rabaty.

Dochodząc do bramki przepuszczającej mnie na piękną aleję usłyszałem nagle nieznośny terkot silnika rosnący z sekundy na sekundę. Jezdnią przewalał się potężny traktor ciągnący dwa wozy naładowane kamiennymi blokami. Okazało się tego dnia, że należy się przyzwyczaić do częstych tego rodzaju przejazdów drogami uzdrowiska. Zupełnie jak w Zakopanem, gdzie zżyliśmy się z tysiącem pojazdów, od których trzęsą się drzewa i sinieje powietrze.

Aleja jest jakby pod kloszem. Całą jej szerokość i długość nakrywają lipy. Trudno tutaj o skrawek błękitu, zresztą, jak zaraz miałem się przekonać, o błękit ten trudno w ogóle w miasteczku. Są tu jakby dwa centra: jedno nad rzeczką przy Pekasie, gdzie wczoraj wysiadłem z autobusu, drugie zaraz za kioskiem z kwiatami. Otóż to drugie centrum tworzy skrzyżowanie czterech uliczek, a przy tym skrzyżowaniu stoi dom kultury z kinem, nieco dalej siedziba władz miasta w budyneczku mieszczącym dziesięć innych instytucji i — co najważniejsze — sklep spożywczy, na rogu dom towarowy, a po drugiej stronie kiosk z truskawkami i podobnymi pysznościami. W kinie idą stare, choć niezłe filmy, w biurach urzędu mają chyba jaką taką ciszę, bo terkot silników słabiej tu dochodzi, w sklepie trafiłem na chroniczny — jak mówią — brak masła, a w domu towarowym sprzedają bardzo różne rzeczy w bardzo różnych ilościach. Na przykład dziewięciowoltowych baterii do tranzystorków nie ma od pięciu tygodni, a będą może szesnastego lipca między 18 a 18 minut piętnaście.

Nieważne, nieważne. Oto park. Tu mamy teraz całe przedstawienie drzew. Każde z nich gra popisową rolę, każde imponuje wiekiem, wysokością, wspaniałością konarów i liści, ptakami, które w jednym z jego zielonych obłoków koncertują właśnie con passione marcando. Alejki prowadzą do zdrowia, powietrza, ziela i do wiewiórek. A także do stawu i wysepki, na której siadają ludzie, z których część jakaś tutaj albo po raz pierwszy w życiu marzy o niebieskich migdałach, albo jeszcze marzy o młodości, o pełnym uśmiechu życia. O zdrowiu.

Tabliczki wbite w ziemię, tuż przy brzegu alejki. Na tabliczkach metry: sto, dwieście, trzysta... Dla sercowców. Nie, nie dla zawałowców, właśnie dla sercowców, którzy noszą bijące serca, są właścicielami pulsujących serc ukojonych, ugłaskanych, odurzonych Nałęczowem złożonym z ziół, róż, lekarzy, łabędzi i kustoszów muzeów. Mówią, że są tu trzy muzea: Żeromskiego, Prusa i spółdzielcze. A ja nie wierzę. Iluż tutaj kustoszów! Każdy strzeże swoich skarbów muzealnych a więc powietrza, o jakie trudno w kraju, ogrodu, jaki trudno odnaleźć gdzie indziej i tego tak bardzo własnego klimatu, klimatu ludzkich oczu i myśli, o jaki tak trudno na tym świecie.

Idę Górą Armatnią. Tak, tędy do Chaty. Jest parno. Słychać dalekie pomruki nieba, ale równocześnie na świecie jakby nieco ściemniało. Ulica Żeromskiego brzęczy pszczołami, cała w zapachu, cała w kolorach. Kolory, kolory. Powoli dochodzę do przydomowych drzew. Chmura, ciemno. Pierwsza błyskawica, grzmot. Chronię się pod podhalański dach Pana Stefana. W fotografiach, napisach, pamiątkach odnajduję tamten czas. Teraz Zakopane staje się nagle bardzo bliskie.

Po południu wypogodziło się. Z ciężkich od różowych kropel kasztanów i dębów dymi uśpiona, ukojona burza. Idę na Jabłuszko. Przy końcu tunelu przebitego przez gąszcz zieleni, który nazywają tu ulicą Prusa, spotykam ciszę. Towarzyszy mi na zalesionym stoku. Nie wiem dlaczego wydaje mi się, że za chwilę dojdę do Żadnego Stawu. Teraz widzę trochę błękitu. W dole jakaś wieś chyba. Schodzę ku szerokiej polanie. Nad rzeczką polskie palmy — wierzby. Stado gęsi. Jedzie wóz zaprzężony w kasztany. To nie podhalańskie widoki. A przecież ogarnia mnie coś, co każe myśleć o przestrzeni między moim oknem a ścianą Giewontu, o przestrzeni między ulicą Floriańską, a dworkiem w Bronowicach...

Nałęczów. Ziemia polska, lessowo polska. Sercu dająca zdrowie, a myślom przestrzeń i lot.

Ojciec i pan Prus

Zofia Bryś

OJCIEC mój był to człowiek światły, z ukończoną szkołą katedralną w Lublinie. Był muzykalny, grał na skrzypcach i harmonii, jak się dawniej nazywało, a ponadto umiał wykonywać zawód szewski. Latem nie zajmował się tą pracą, ale zimą w długie wieczory pracował.

Każdego wieczoru ojciec mój siadał przy swojej skrzyni, na środku izby, przy nisko opuszczonej lampie, rozkładał swe narzędzia i pracował, a przy tym opowiadał.

Cóż to były za opowiadania!

„Czy wiecie dzieci, że ja robiłem buty panu Prusowi? To był Aleksander Głowacki, a Prus to jego literacki pseudonim. Było to wtedy w Nałęczowie, pracowałem u majstra (którego nazwiska już dziś nie pamiętam). Pan Głowacki przyjeżdżał z Warszawy latem do Nałęczowa i przychodził do nas bardzo często. Dużo opowiadał i czytał nam swoje rękopisy, książki, oraz pisma, w których drukowano jego kroniki. Pierwszy słyszałem fragmenty z książek zanim poszły do druku, czytane nam przez samego Prusa. Czytał i pytał nas, czy to dobrze napisał, czy będzie się podobać czytelnikom. Czy wiecie, dzieci moje, ile to dla mnie znaczyło? Sam pan Prus czytał nam „Anielkę", „Antka", „Sierocą dolę", „Przygody Stasia", „Michałka", „Powracającą falę", fragmenty z książki „Placówka", bo to wszystko pisał tu w Nałęczowie. Tu zbierał tematy. Ludzie nałęczowscy i okoliczni byli natchnieniem i materiałem dla jego twórczości, literackiej pracy.

Całymi godzinami pracowaliśmy przy warsztacie, a pan Prus nam czytał swoje utwory, dyskutował z nami i opowiadał bardzo ciekawie rzeczy różne. To był wspaniały człowiek.

Pan Prus mieszkał w wielu miejscach w Nałęczowie: w Pałacu, w Zakładzie Leczniczym, w willi przy ul. Lipowej. Był skromnym człowiekiem, nie bardzo zamożnym, miał przyniszczone sakpalto, ale był nadzwyczaj pogodny i zachwycał się Nałęczowem. Mówił nam, że jest tyle pięknych miejscowości na świecie, ale w Nałęczowie jest mu dobrze. Że Nałęczów dla niego to jak dom i świat".

Wtedy ojciec mój znów zaczynał opowiadać o Nałęczowie, jak tam jest pięknie, jakie drzewa i krzewy kwitną w parku i jacy ludzie tam przyjeżdżają. Oczami dziecka widziałam Nałęczów jako kraj wyśnionej baśni, ten piękny, elegancki świat, pełen bogactw, przepychu i światłych ludzi.

Ojciec mój w swoim zbiorze książek wyszukiwał ulubione, podawał najstarszemu bratu i mówił: „Edziu, czytaj nam „Placówkę" pana Prusa z Nałęczowa". I brat czytał. Wtedy padały moje pierwsze łzy nad losami biednego Ślimaka. To „Placówka" pierwsza budziła moje wewnętrzne życie, najtkliwsze uczucia, moje pierwsze poważniejsze myśli o życiu, o świecie, o tym co dobre, co złe.

Po książkach pana Prusa, były książki pana Żeromskiego, którego też ojciec dobrze znał. „Siłaczka", która wzruszała do głębi, „Syzyfowe prace", „Przedwiośnie" i wiele, wiele innych, zawsze piękne i nigdy nie zapomniane książki, pisane w Nałęczowie. W umyśle dziecka powstawała pewność, że wszystko co piękne i wzniosłe, bierze tam początek.

Nałęczów był dla nas w tym czasie światem wielkich i mądrych ludzi. Te głośno czytane książki, opowiadania mego ojca stworzyły w moim sercu przeogromny kult dla Nałęczowa.

Zbigniew Strzałkowski

SMAK CISZY

Ptak, który otwiera dzień, jest znakiem ukrytym w listowiu.
Wiatr biegnący od pól ma płaszcz koloru wiosny.
Szrama wąwozu na płótnie wyrasta grubą warstwą zieleni.

Nałęczów
rozkołysany w delikatnym powietrzu
niczym motyl uśpiony w nektarze słonecznym
sennym spojrzeniem
ogląda nasze rozmarzone ciała.

W nawałnicy zieloności
rąbek nieba jest chustą niedbale rzuconą
pomiędzy linią ciszy
a szmaragdowym cieniem ulicy,
po której idziemy w głąb wspomnienia.

Zza liścia klonu dobiega śpiew wiolonczeli
pełen popołudniowej zadumy.
To znak tajemnej schadzki w parku
słonecznej kuli i wieczornych fletów
spiętych oburącz banderolą miłości.

Gdzie się fiolet z chłodem zawiązuje
w kilim srebrzystej powłoki
wynurza się z wnętrza wąwozów
tańczący chór wieczornych ptaków
i biegnąc krawędzią nocy
welonem ciszy nakrywa zieloność miasta.

Nałęczów cały
muzyka świerszczy opisany.

LUBLIN PRZED I PO WYZWOLENIU

Dni politycznego napięcia

Ireneusz Caban

W DNIACH 25—29 lipca doszło w Lublinie do sytuacji politycznie skomplikowanej i napiętej, noszącej w zarodku możliwość ostrych konfliktów. Z jednej strony w imieniu PKWN rozpoczęła działalność Wojewódzka Rada Narodowa mająca poparcie 1 Armii WP i wojskowych władz radzieckich („Przy organizowaniu życia na Lubelszczyźnie — wspomina jeden z działaczy lewicy — przedstawicielstwa radzieckie nie brały bezpośredniego udziału. Odczuwało się natomiast ich poparcie przez sam fakt, że istniały"), z drugiej — Delegatura Okręgowa i jawnie działająca Komenda Okręgu (mieściła się przy Złotej 6) oraz Komenda Miasta AK i uzbrojone oddziały akowskie — uznające tylko rząd emigracyjny, który ponad rok temu zerwał stosunki z rządem radzieckim — odmawiające uznania PKWN i podporządkowania się 1 Armii WP.

Aby pełniej ukazać złożoność ówczesnej sytuacji dodajmy, że kierownictwo Armii Krajowej deklarowało chęć współdziałania z wojskami radzieckimi z zastrzeżeniem jednak całkowitej samodzielności, aby „nie dopuścić do dyskontowania jej zasług"(!).

Napięcie wzmagał napływ do miasta uzbrojonych oddziałów partyzanckich, traktowany przez oba przeciwstawne obozy jako swego rodzaju demonstracja siły. 26 lipca znalazł się w Lublinie około 100-osobowy oddział AK „Kmicica", część oddziału „Szarugi", uzbrojone grupy z rejonów podlubelskich, a także kilkunastoosobowy oddział NSZ, którego dowódca „przekazał swych żołnierzy pod komendę AK".

Również i obóz lewicy z dnia na dzień umacniał swoje siły. W dniach 26 i 27 lipca trwała koncentracja oddziałów AL. Do Lublina przybyły m. in. oddziały „Janowskiego" (L. Kasman), „Bolka" (G. Bolkowiak), „Cienia" (B. Kowalski), grupy garnizonowe z powiatu kraśnickiego, lubartowskiego i lubelskiego. Wraz z nimi dotarli do miasta dalsi członkowie WRN i działacze partyjni: A. Gadzalanka, M. Czerwiński, I. Robb-Narbutt, P. Dąbek, S. Szczepański, I. Loga-Sowiński, W. Żdunek.

26 lipca wkroczyły do Lublina pierwsze jednostki 1 Armii Wojska Polskiego. Żołnierze, choć zdrożeni przemarszem (jednostki 1 Armii WP przeszły spod Kiwerc przez Lubelszczyznę w dniach 24—29 lipca w drugim rzucie 1 Frontu Białoruskiego i dopiero nad Wisłą w rejonie Dęblin—Puławy wprowadzone zostały do rzutu operacyjnego), prezentowali się świetnie. Na Krakowskim Przedmieściu odbyła się pierwsza po wyzwoleniu, owacyjnie i ze wzruszeniem przyjęta przez społeczeństwo Lublina, defilada wojskowa, którą przyjmowali dowódca 1 Armii WP gen. Z. Berling i jego zastępca do spraw politycznych gen. A. Zawadzki.

Fot. Trachman

Przybycie jednostek polskich do Lublina ogromnie wzmocniło nie tylko siłę, ale i autorytet lewicy. Polski mundur i polski orzełek, choć był on bez korony, łamał wszelkie bariery polityczne. Dla przeciętnego mieszkańca Lublina był to po prostu: polski żołnierz, mówiący i czujący po polsku. Miało to ogromne znaczenie psychologiczne. Po raz pierwszy, niejako w spektakularnej formie, ukazało to siłę polskiej lewicy, tej, która była przecież inicjatorem i organizatorem odrodzonego Wojska Polskiego.

Wojsko Polskie odegrało istotną rolę w powstaniu ludowej państwowości w Lublinie i kształtowaniu korzystnych dla nowej władzy nastrojów. Wielką operatywność wykazała wspomniana już grupa polskich oficerów i podoficerów polityczno-wychowawczych — pełnomocników PKWN, działająca przy sztabie 1 Frontu Białoruskiego, której kierownictwo w Lublinie spełniał ppor. Z. Kratko. Grupa ta — jak słusznie stwierdza jej dowódca — „stanowiła pierwszy zalążek rzeczywistej władzy ludowej na terenie Lublina i okazała wielką pomoc powstałemu w Chełmie PKWN, który stopniowo przenosił się do Lublina". Była to kadra przygotowana do tych zadań jeszcze przed wkroczeniem na tereny kraju. W opracowanym przez Zarząd Polityczno-Wychowawczy 1 Armii WP tzw. konspekcie nr 90 „Z czym idziemy do Polski" instruowano przyszłych pełnomocników PKWN, że „dla uniknięcia anarchii i nieporządków w kraju, dla zapewnienia bezpieczeństwa publicznego, normalnego biegu pracy, zabezpieczenia mienia publicznego, konieczne jest przystąpić natychmiast do tworzenia tymczasowych organów władzy samorządowej [...] Do tymczasowego pełnienia funkcji władz samorządowych powołane są powiatowe, miejskie i gminne rady narodowe. Tam, gdzie ich jeszcze nie ma, powinny powstać, stworzone przez szczerych patriotów, znanych z walki o niepodległość przeciw Niemcom i ze swych przekonań demokratycznych."

Bardziej szczegółowe zadania dla jednostek wkraczających do Polski precyzowała „Instrukcja zarządu polityczno-wychowawczego 1 Armii WP o zasadach postępowania żołnierzy po wkroczeniu do kraju". Nakazywała ona m. in. akcentować „bezstronność pomocy wojska dla narodu w ułożeniu sobie spraw wewnętrznych", wzywać do jedności społeczeństwa, popularyzować KRN, prowadzić mobilizację do WP, udzielać pomocy, bądź inicjować, w kontakcie z organizacjami demokratycznymi, powstawanie organów władzy samorządowej, pomagać w tworzeniu MO.

Od 26 lipca działała w Lublinie wojskowa grupa agitacyjna mjr M. Wągrowskiego (szła ona tuż za Armią Czerwoną), która organizowała wiece, spotkania, nawiązywała kontakty z przedstawicielami PPR, AL i działaczami demokratycznymi.

„Obraz ówczesnego Lublina żywo przypominał opisy z pierwszych dni rewolucji 1917 r. Na ulicach pełno młodzieży, w tym 15—16-letnich chłopaków, obładowanych bronią. Jedni obwieszeni byli karabinami, automatami, inni dźwigali granaty — to różne organizacje gromadziły rezerwy". Po mieście krążyły patrole wojskowe polskie i radzieckie, pełniące służbę porządkową grupy partyzanckie z opaskami Milicji Obywatelskiej, AL, PKB, AK, lub po prostu „ludzie z bronią".

Stan napięcia odczuwało się wyraźnie, a mimo to nie doszło w tych dniach do zbrojnej konfrontacji, choć obie strony taką możliwość przewidywały. „Otrzymaliśmy w owych dniach poufną wiadomość — wspomina Z. Kratko — że uzbrojone oddziały akowskie przygotowują napad na naszą siedzibę, organizują coś w rodzaju zamachu, chcąc przejąć władzę w mieście. Tego samego dnia zajechały dwa czołgi pod nasz dom, w mieście ukazały się uzbrojone oddziały na samochodach — atmosferę rozładowano [...]". Innym razem otrzymano „wiadomość, że tzw. sztab AK będzie rozbrojony, mamy więc tam się udać i zafasować broń dla całej grupy. O określonej godzinie w nocy wyruszyliśmy całym oddziałem, wysuwając na czoło uzbrojonych. Cisza i spokój na ulicach przyległych do gmachu AK zastanawiały nas. W bocznej ulicy zatrzymałem oddział, wysyłając uzbrojony patrol celem zbadania sytuacji. Patrol stwierdził, że jak zwykle przed siedzibą sztabu AK stoi uzbrojona straż, a wokół panuje absolutna cisza. Wobec tego wycofałem oddział z planowanej „operacji", która mogła mieć fatalne dla nas skutki".

Dochodziło w tym czasie do drobnych konfliktów, wywołanych najczęściej nerwowością i niejasną sytuacją, które jednak nie doprowadziły do tragicznych skutków. Jak się wydaje, złożyły się na to dwie przyczyny: dążenie lewicy (mimo prowokacyjnego niekiedy stanowiska przedstawicieli „obozu londyńskiego") do rozładowania zaistniałej sytuacji środkami politycznymi, oraz jakby oddalenie w pierwszych dniach istoty sporu od społeczności miejskiej.

Aby przeciwdziałać narastającemu w Lublinie konfliktowi, dowództwo 1 Armii WP już w dniu 27 lipca zdecydowało się na swego rodzaju przejęcie władzy w mieście (sprawowało ją praktycznie do 29 lipca). W uzgodnieniu z Komendanturą Wojenną Armii Czerwonej ustanowiono wówczas polską Komendę Miasta Lublina mianując komendantem głównym gen. bryg. Jana Mierzycana. Jednocześnie na murach miasta rozplakatowano pierwszy jego rozkaz, który stwierdzał m. in.: „Rozkazuję: 1) Ludności cywilnej zdać broń w Komendzie Miasta ul. Staszica nr 3 do dnia 29 VII 1944 r. godz. 18. 2) Dowódcy oddziałów partyzanckich zgłoszą się do mnie dnia 28 VII 1944 r. o godz. 12. 3) Oddziałom PKB, ludności cywilnej, podporządkować się patrolom wojska polskiego wyznaczonym przeze mnie [...] Wszelkie rozkazy dotychczas wydane do ludności cywilnej unieważniam. Rozkaz powyższy pozostaje w mocy do objęcia władzy przez miejscową radę narodową, co będzie ogłoszone specjalnym rozkazem".

Rozkaz ten nie miał jednak zasadniczego znaczenia dla dalszego rozwoju wydarzeń w Lublinie, choć w warunkach strefy frontowej stanowił legalny akt prawny. Problem „dwuwładzy" czekał dopiero na rozwiązanie...

Przez pierwsze dni kwestia istnienia dwu władz, czy określonego stosunku do nich, nie była sprawą najważniejszą dla mieszkańców Lublina. Lublinianie chłonęli pierwsze dni wolności i to było najistotniejsze, ważniejsze od wszystkiego co było i będzie. Ulice miasta zapełnione były ludźmi „ciekawymi" żołnierzy Armii Czerwonej, Wojska Polskiego i partyzantów... Gromadzono się przy słupach ogłoszeniowych, dyskutowano nad Manifestem PKWN (plakaty z Manifestu pojawiły się w Lublinie 26 lipca przywiezione przez wojskową grupę operacyjną), przekazywano sobie z rąk do rąk egzemplarz „Rzeczypospolitej" ze składem władz PKWN, rozpytywano o bliskich i znajomych. („Wszyscy winszują sobie, że przetrwali, że żyją".) W mieście trwała swego rodzaju „wojna ulotek", afiszy, ogłoszeń i wezwań, haseł; odbywały się zaimprowizowane wiece. Atmosfera polityczna ówczesnego Lublina wciągała stopniowo i mieszkańców miasta. „Ludzie wypytywali i dyskutowali. Każde zetknięcie się z oficerami WP kończyło się jako niezamierzone zebranie dyskusyjne. Lublin był rozpolitykowany (...) musieliśmy zaspokajać ciekawość, rozwiewać nieufność i uprzedzenie".

Miasto pustoszało tylko nocą (od 22 do 5), kiedy, zgodnie z prawem wojennym, ludność cywilną obowiązywał zakaz wychodzenia na ulice. Obowiązywało nadal zaciemnienie ulic i mieszkań.

Radość wyzwolenia mąciły tragiczne wspomnienia niedawnej przeszłości. Tłumy lublinian odwiedzały obóz na Majdanku, aby z bliska zobaczyć koszmar zbrodni hitlerowskich, który przez blisko trzy lata napawał mieszkańców miasta strachem i niepewnością jutra. Szczególnie piątek 28 lipca był dniem powszechnej żałoby w Lublinie. W tym dniu pod Zamkiem odbyło się nabożeństwo żałobne za pomordowanych w dniu 22 lipca.

„Przyszły na Zamek w Lublinie tysiące ludzi — pisał korespondent Armii Czerwonej E. Kriger. — Szli od bram miejskich do placu, położonego między dwoma wzgórzami; po krótkim czasie nie pozostało na placu miejsca dla płynącego ze wszystkich stron potoku ludzkiego; ludzie zaczęli gromadzić się na wzgórzach, na bardziej oddalonych uliczkach położonych powyżej placu, obok kościoła, wznoszącego się na wierzchołku drugiego wzgórza, na ruinach, na płotach, na dachach, i wkrótce znikły ściany, okna, puste skrawki ziemi, wszędzie byli ludzie, ludzie i nad nimi niebo. To była godzina smutku i łez [...]. Plac od końca do końca rozbrzmiewał dźwiękami litanii. Stali żołnierze armii polskiej z obnażonymi głowami". Nabożeństwo to po przemówieniach przedstawicieli nowo powstałych władz polskich i dowództwa 1 Armii WP (w imieniu WRN przemawiał J. Manugiewicz) przekształciło się w wielką patriotyczną manifestację.

Kamena str. 7

Ireneusz Caban

Albin Koprukowniak

Zygmunt Mańkowski

Józef Marszałek

DYSKUSJA „KAMENY"

o polityce okupanta i postawach społeczeństwa

W kolejnej redakcyjnej dyskusji „Kameny", dotyczącej tym razem książki Zygmunta Mańkowskiego „Między Wisłą a Bugiem 1939—1944" oraz stawianych przez nią problemów, wzięli udział: historyk, mgr Ireneusz Caban — autor książek z dziejów historii najnowszej Lubelszczyzny, doc. dr hab. Albin Koprukowniak — dyrektor Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Lublinie, dr Józef Marszałek — z Instytutu Historii UMCS, dr Czesław Rajca — kierownik działu naukowo-badawczego Muzeum na Majdanku, doc. dr hab. Wiesław Śladkowski — z Zakładu Historii Nowożytnej UMCS.

W dyskusji uczestniczyli również: autor książki, doc. dr hab. Zygmunt Mańkowski — kierownik Zakładu Historii Najnowszej UMCS, Marek Adam Jaworski — redaktor naczelny „Kameny" i red. Mirosław Derecki.

„KAMENA": Książka Zygmunta Mańkowskiego „Między Wisłą a Bugiem 1939—1944, studium o polityce okupanta i postawach społeczeństwa", która ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Lubelskiego, pierwsza tego rodzaju obszerna monografia dotycząca lat okupacji na Lubelszczyźnie, spotkała się ze zrozumiałym zainteresowaniem kręgów czytelniczych, ukazało się na jej temat szereg fachowych recenzji w prasie krajowej. Nie musimy dodawać, że książka prawie już zniknęła z półek księgarskich. Otwierając tę dyskusję miło nam podkreślić, że dr Zygmunt Mańkowski jest od wielu lat członkiem kolegium redakcyjnego „Kameny" i dlatego — choć będzie to może trochę nietypowe — do niego pierwszego, nie jako autora, ale współredaktora naszego pisma zwrócimy się o rozpoczęcie dyskusji.

ZYGMUNT MAŃKOWSKI: Cieszę się, że w dyskusji nad moją książką w gruncie rzeczy poświęconą postawom Polaków w latach II wojny światowej, zechcieli wziąć udział historycy — specjaliści od różnych okresów historii Polski, badający uważnie i głęboko postawy narodu polskiego w różnych okresach jego dziejów. Doc. Wiesław Śladkowski od lat śledzi zachowanie się Polaków w dobie naszych powstań narodowych, zna sprawy Polaków w okresie I wojny światowej, badał również dzieje i środowisko kolonistów niemieckich na Lubelszczyźnie, którzy — choć nie bezpośrednio — sprowadzili na tę ziemię tragedie i nieszczęścia. Myślę tu o akcji wysiedleńczej prowadzonej przez okupanta, która swe uzasadnienie znalazła w fakcie istnienia niemieckich kolonistów.

Jest tutaj doc. Albin Koprukowniak, który pochyla się nad kartami dziejów przełomu XIX i XX wieku, bada postawy narodu w wielkim porywie rewolucji 1905—1907, śledzi postawę i rolę polskiego ruchu robotniczego, pisze również o problemach jedności Polaków w latach II wojny światowej.

Są tu wytrawni specjaliści od dziejów polityki okupanta w latach 1939—1944: dr Czesław Rajca i dr Józef Marszałek; zabierze pewnie głos mgr Ireneusz Caban, znany ze swych studiów poświęconych dziejom okupacji i ruchowi oporu ale także — co jest istotne — początkom Polski Ludowej, kiedy to tak dotkliwie dały się odczuć skutki układów, postaw i idei z lat okupacji.

Obecność panów jest dla mnie ogromnie cenna. Chciałbym zaproponować dyskusję o książce, ale zarazem o postawach — na tle tej książki — Polaków, o ich cechach charakterologicznych, ich predestynacjach, reakcjach na pewne przeciążenia, uderzenia dziejowe itd. Bo o tym wszystkim jest wszak właściwie moja książka. Nie jest to przecież pełna monografia tematu. W gruncie rzeczy interesowały mnie zachowanie się, oblicze, charakter, poczynania okupanta, oraz reakcje Polaków na tę groźną, ludobójczą, bezpardonową politykę grabieżcy. Są tu też inne podmioty zainteresowań: mniejszości narodowe: Ukraińcy, Żydzi, Niemcy, są partyzanci radzieccy...

Czy obraz stworzony przeze mnie w tej książce jest prawdziwy? Czy przylega do tej bardzo złożonej, dramatycznej rzeczywistości, czy ją oddaje? Czy rzeczywiście — jak stwierdził w liście do mnie jeden z czytelników — książka jest apologetyczna w stosunku do Polaków, a jej wydźwięk wskazuje, że ma pewien związek z nurtem pisarskim określonym jako „ku pokrzepieniu serc"?

Czy rzeczywiście Polacy w tym trudnym okresie byli tacy dojrzali w swych reakcjach i postawach, tacy odporni, patriotyczni, sprytni, spolegliwi, jak sugeruje — co podjął jeden z recenzentów — moja książka? Czy nie było determinacji, depresji, załamań, zdrady, nikczemności, tchórzostwa — na to zwrócił uwagę inny recenzent — zaprzaństwa, a więc tego wszystkiego, co nieuchronnie niesie ze sobą czas wielkiej próby? Czy faktografia nie przeciążyła tej książki?

Jakimi byliśmy w latach wielkiego, dziejowego egzaminu? To mnie najbardziej interesowało, i to chciałem na kartach swojej książki ukazać.

WIESŁAW ŚLADKOWSKI: To, co wybija się na plan pierwszy tej wybitnej i znakomitej książki, to jej syntetyczny charakter. Jest ona podsumowaniem pewnego etapu badań. Chciałbym przypomnieć, że Zygmunt Mańkowski był przed laty inicjatorem badań nad historią okupacji i ruchu oporu na Lubelszczyźnie. Swoją książkę oparł na opublikowanych przez siebie licznych i bogatych wydawnictwach źródłowych, ale umiał korzystać i z dorobku innych badaczy, którzy na tym terenie wykształcili się. Znając szereg szkół historycznych Polski, czerpiąc wzory z przodujących ośrodków historycznych: poznańskiego i warszawskiego, potrafił ich doświadczenie zaszczepić i wykorzystać na gruncie lubelskim. Temat, jaki podjął w swej ostatniej książce, temat tak bardzo ważny dla współczesnego pokolenia, wymagał specjalnej formy wypowiedzi. I dobrze się stało, że w tym przypadku autor sięgnął do klasycznego wzoru narracji. Koncepcja bardzo trafna.

Mówiąc na razie w sposób bardziej ogólny, chciałbym zwrócić uwagę panów na kwestię stylu pisarskiego. Tak ważnego również w dziele historycznym. Mówi się, styl to człowiek... Ten styl pisania, jaki spotykamy w książce Mańkowskiego — żywy, pełen temperamentu, bardzo błyskotliwy — okazał się szczególnie przydatny. Oczywiście, taki „dziennikarski" styl ma także swoje mielizny: czasem osiąga zbyt wysokie „C". Lecz w omawianym przypadku autor owych mielizn potrafił się ustrzec. Układ, konstrukcja książki — bardzo przejrzyste. Chciałbym też zwrócić uwagę na doskonały wstęp który porównałbym do błyskotliwej, lecz posiadającej swój ciężar gatunkowy, uwertury.

CZESŁAW RAJCA: Będzie mi dość trudno mówić po doc. Śladkowskim, który podkreślając wszystkie pozytywy książki, zrobił to tak przekonująco, że tylko chwalić. Może więc najpierw rozwinę myśl doc. Śladkowskiego. Dla mnie ta książka jest jakby modelem, pokazaniem, jak należy łączyć syntezę z analizą. Jak się ją przeczyta widać, że autor zajął się wszystkimi problemami polityki okupanta. Potrafił wprowadzić akcenty niezwykle dynamiczne. Można by tylko dyskutować na temat rozłożenia pewnych akcentów.

W tej książce — i to jest jej zaleta — każdy coś dla siebie znajdzie: i historyk i hobbysta, i ktoś taki, co chce się na przykład dowiedzieć czegoś na temat wczesnych organizacji konspiracyjnych na Lubelszczyźnie. Ale znowu: nie ma w tej książce indeksu nazwisk, mapek i szkiców, nie ma indeksu geograficznego. Zupełnie dyskusyjnie traktowałbym sprawę oceny działalności — zresztą nie tylko przez Mańkowskiego — komitetów kontygentowych. Moim zdaniem, nie miały one w latach okupacji nic do powiedzenia, w rzeczywistości były zupełnie bezsilne i trudno mieć do nich szczególną pretensję o takie czy inne postępowanie.

ZYGMUNT MAŃKOWSKI: Chodziło mi w tym wypadku o podkreślenie, że mimo grozy okupacji konflikty klasowe na wsi nadal istniały i wyrażały się w działaniu.

CZESŁAW RAJCA: I jeszcze jedna dyskusyjna uwaga: na temat masowego przechodzenia żołnierzy BCh do AL. Nie znalazłem w książce udokumentowanego przykładu o przejściu jakiegoś dużego oddziału.

ZYGMUNT MAŃKOWSKI: Były takie oddziały: Np. „Lipy" „Niwy" i inne.

IRENEUSZ CABAN: Przede wszystkim chciałem zwrócić uwagę na pewien bardzo ważny aspekt: mówiono tutaj już wiele, że książka Mańkowskiego jest plonem wieloletnich badań. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale chciałbym jednocześnie zauważyć, że badania nad najnowszą historią Lubelszczyzny nie są zakończone, trwają i na ich ostateczne wyniki trzeba będzie jeszcze poczekać.

Aktualny stan badań musiał w jakiś sposób zaważyć na książce, określić ją. Twierdzę, że ja na przykład nie wiem, co by jeszcze można w przyszłości specjalnie odkrywczego powiedzieć na temat polityki okupanta: a więc pierwszy człon podtytułu książki — Studium o polityce i postawach społeczeństwa — jest już wyczerpany. Ale drugi człon — o postawach wsi, postawach ludności,

Czesław Rajca

Wiesław Śladkowski

jest nadal otwarty bo wciąż jeszcze znajduje się w trakcie badań. Skądinąd — i to chciałbym podkreślić — ta książka jawi mi się jako swego rodzaju podręcznik edukacji historycznej. Uważam, że jej wymowę edukacyjną można by porównać tylko do książek Załuskiego. Ujmując zaś rzecz z innej znowu strony: bez tej książki badacz, historyk byłby bezradny.

ALBIN KOPRUKOWNIAK: Mańkowski stanął przed niezwykle trudnym zadaniem. Bo w jednej monografii pokazuje nam dwa wątki: politykę okupanta i postawy ciemiężonego społeczeństwa. Istotnie, problem postaw społeczeństwa jest niezwykle trudny do pokazania. Przynajmniej w chwili obecnej. Potrzebne są szeroko zakrojone badania socjologiczne, psychologiczne, politologiczne, a więc — badania komparatystyczne, które potrafiłyby w sposób wyczerpujący ukazać dzień „codzienny" społeczeństwa w tamtych latach.

Ale Mańkowski już teraz pokazuje w sposób przekonywający, że postawa ludności polskiej była czujna. Że nie upadł duch. To jest uwidocznione w „Między Wisłą a Bugiem" doskonale. I w tej właśnie warstwie książki zamyka się ogromny ładunek emocji. Wszak książka Mańkowskiego zwraca się nie tylko do racji, ale i do emocji...

WIESŁAW ŚLADKOWSKI: Te czasy żyją w naszej psychice.

ALBIN KOPRUKOWNIAK: Tak. I żyć będą w świadomości pokolenia następnego. „Między Wisłą a Bugiem" wychowuje, ale i do czegoś przekonuje.

Udało się autorowi bardzo wyraźnie wykazać — albo unaocznić — specyfikę swoistego okupacyjnego diagramu. Oto w pewnym momencie przecinają się w sposób bardzo wyrazisty dwie linie: linia oporu idąca coraz bardziej w górę (postawa społeczeństwa), z linią agresji okupanta, postępującą w dół.

Tej książce można by jeszcze dać podtytuł: Epopeja wsi lubelskiej. Wszak ruch zbrojny, ruch oporu, wywodził się na Lubelszczyźnie w 90 procentach z młodzieży chłopskiej. Niezależnie od rodzaju przynależności organizacyjnej. Przyznam, że zabrakło mi tutaj sprawy postaw miast i miasteczek Lubelszczyzny. Problem „miejski" autor pozostawił jakby na uboczu. Ale też właśnie dlatego objawia się z całą wyrazistością specyfika tego regionu, położonego między Wisłą a Bugiem: regionu wiejskiego.

ZYGMUNT MAŃKOWSKI: W trakcie badań okazało się, że małe miasteczka były stosunkowo mało aktywne.

ALBIN KOPRUKOWNIAK: A jednak sprawa tych miasteczek... Nie udało się w książce prześledzić w pełni polaryzacji politycznej społeczeństwa w latach okupacji. Lecz zgoda: na to trzeba jeszcze poczekać, to rzecz dalszych badań.

JÓZEF MARSZAŁEK: Ja bym dodał, że Mańkowski bardzo umiejętnie wyakcentował specyfikę lubelską. Problemy dnia codziennego są tutaj może mniej szeroko, niż można się było spodziewać, pokazane. Ale zgodziliśmy się już wcześniej, że nie ma w tym względzie jeszcze wystarczających badań. Do zalet książki zaliczam umiejętne porównanie naszego regionu z innymi regionami Generalnej Guberni, co podkreśla jego specyfikę. Autor ujął też dokładnie atmosferę tamtych dni, poprzez ukazanie całej gamy ludzkich postaw. Jeśli chodzi o sam rok 1944, dominuje tu zdecydowanie postawa aktywistyczna, postawa ruchu oporu. Postawy całego społeczeństwa już się tak nie odczuwa. A przecież były to cztery piąte ludności całej Lubelszczyzny. Ta praca pozwala też sobie uświadomić obecność pewnych „białych plam" jak choćby sprawa organizacji podziemnych po zakończeniu wojny, czy sprawa lubelskiej Delegatury Rządu.

WIESŁAW ŚLADKOWSKI: Ponieważ na początku naszej dyskusji mówiłem przede wszystkim o sprawach ogólnych, teraz chciałbym sięgnąć bardziej do szczegółów. Ja uważam, że pisząc o ruchu oporu autor uwzględnił jednak również i postawę całego społeczeństwa. Przecież w walkę z okupantem było czynnie zaangażowanych 25 procent, to znaczy czwarta część społeczeństwa. Bo wszak musimy liczyć również i rodziny członków ruchu oporu. To bardzo dużo. Tę postawę szerokiego udziału społeczeństwa widać wyraźnie choćby na kartach „Dziennika z lat okupacji" doktora Zygmunta Klukowskiego. Niestety, nie mieliśmy na Lubelszczyźnie wielu takich Klukowskich, którzy jak on, potrafiliby pisać o dniu codziennym walczącego z okupantem społeczeństwa.

Ale zgodziłbym się z doktorem Marszałkiem, że niektóre kwestie przedstawione zostały w „Między Wisłą a Bugiem" w sposób mniej doskonały: na przykład sprawa tajnej oświaty. Ta część mogłaby być ujęta bardziej szczegółowo i barwnie. I znowu: rozumiem, że to zagadnienie, które wymaga jeszcze szczegółowych badań. Co do postaci Globocnika: autor chyba zbyt go zdemonizował. Przecież, ostatecznie, Globocnik był wynikiem całego określonego systemu, wynikiem działalności Himmlera...

Ale to są, mimo wszystko, marginesy.

Co jest bardzo ważne, istotne w książce Zygmunta Mańkowskiego, co jest w niej bardzo wartościowe: to, że autorowi udało się wskrzesić przed oczyma czytelnika obraz polskiego losu. Lektura książki jest zarazem ogromnym przeżyciem natury psychicznej. Zarówno dla tych, którzy tamte czasy znają z autopsji, jak i dla tych, którzy się o tamtych latach dowiadują tylko z lektury. „Między Wisłą a Bugiem" posiada nie tylko ogromny walor badawczy, ale i nie mniejszy — społeczny.

I dobrze się stało, że właśnie teraz, w dniach Miesiąca Pamięci Narodowej, w roku 35-lecia Polski Ludowej i 40-lecia Września dyskutujemy o tej właśnie książce i o postawach polskiego społeczeństwa. Dyskutując zdajemy sobie dobrze sprawę, czemu i komu zawdzięczamy, iż nie musimy dzisiaj bać się tej groźby, jaką przyniosły czasy, o których pisze Zygmunt Mańkowski. To nie jest obraz malowany w stylu „ku pokrzepieniu serc". W godzinie wielkiej próby społeczeństwo nasze sprostało zadaniom, jakie na nim ciążyły.

ALBIN KOPRUKOWNIAK: Dyskutujemy w Miesiącu Pamięci Narodowej, ale również w chwili, kiedy po drugiej stronie Łaby rozlegają się głosy nawołujące do zapomnienia tego wszystkiego, co się między innymi zdarzyło między Wisłą a Bugiem w latach 1939—1944.

WIESŁAW ŚLADKOWSKI: Tym bardziej wyraźnie rysuje się przed nami sprawa roli i rangi historii we współczesnym społeczeństwie. I tym wyraźniej możemy sobie uświadomić, że dla edukacji młodych pokoleń książki takie jak ta, mają ogromne znaczenie.

Notował: Mirosław Derecki
Zdjęcia: Alojzy Drozd

35 LAT I JA

Godot nie przyjdzie

Stefan Aleksandrowicz

CHOCIAŻ jestem bliżej gomółkowiczowskiej „połowy żywota" niż statystycznej, podjąłem rzucony przez redakcję temat, bo wydał mi się frapujący. Nie z tego powodu, iż uważam, że życiowe dokonania upoważniają mnie do podsumowań. Najistotniejszym jak mi się wydaje powodem było to, że niedawno urodził mi się syn i chyba po raz pierwszy w życiu obejrzałem się „do tyłu". Nie byłem tym specjalnie zbudowany.

„Szczenięce" i pierwsze lata szkolne związane były z Hrubieszowem, a konkretniej z dzielnicą Sławęcin, gdzie urodził się trochę zapomniany dzisiaj poeta „Kwadrygi", Stanisław Ciesielczuk.

Technikum Mechanizacji Rolnictwa ukończyłem w Powodowie koło Wolsztyna. Miałem szczęście spotkać tam znakomitego pedagoga i człowieka teatru, Stefana Hermana. Za jego sprawą przeżyłem pierwsze teatralne fascynacje. Pracę podjąłem jednak zgodnie z wyuczonym zawodem w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Kościaszynie i po stażu nawet pełniłem tam czas jakiś nieoficjalnie funkcję zastępcy dyrektora. Zapewne „wesanny" zostałbym przez wieś na dobre, gdyby nie służba w Podoficerskiej Szkole Artylerii Przeciwlotniczej.

Dzisiaj jest mi trudno sprecyzować motywacje, ale po wojsku wylądowałem na filologii polskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, specjalizując się u profesora Juliana Lewańskiego w zakresie literatury i teatru staropolskiego.

Na trzecim roku studiów wspólnie z Jurkiem Doboszem, Mirkiem Gruchniem, Wieśkiem Kaczkowskim, Tadkiem Sawicem i Jankiem Twardowskim założyłem istniejący do dziś teatr „Provisorium". No cóż, jest to obecnie jeden z najbardziej interesujących teatrów studenckich w Polsce.

W międzyczasie dużo podróżowałem i po kraju, i po Europie Zachodniej, pracując w różnych zawodach, między innymi jako ślusarz, pomocnik murarza, spawacz, likwidator szkód gradowych, roznosiciel mleka, cykliniarz. W końcu, podejmując drugą w życiu pracę stałą w Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie, znowu wróciłem „na wieś". Aktualnie zajmuję się tam gromadzeniem materiałów do archiwum literatury ludowej i obrzędów dorocznych. Czynnie również uczestniczę w budowie Parku Etnograficznego na Sławinku. W czasach zdobyczy kosmicznych, kiedy najczęściej wkład indywidualny jednostki gubi się w ogromie dziejących się wątpliwej jakości wydarzeń, to wielkie szczęście i satysfakcja pracować nad tym wspaniałym, nie podlegającym dyskusji przedsięwzięciem. Pierwszy sektor Muzeum mamy zamiar udostępnić społeczeństwu jeszcze w roku bieżącym.

Jeśli zaś chodzi o dokonania literackie — bo ja wiem... Długa lista nagród, prezentacja fragmentów sztuki w teatrze zawodowym, na antenie radiowej, kilka inscenizacji w teatrach amatorskich. Może coś tam jeszcze... Najbardziej jednak sobie cenię specjalnie napisaną i zrealizowaną z teatrem GAK „Gołębnik", na swoim ostatnim wieczorze kawalerskim, w 1977 roku, sztukę pt. „Przypowieść o trzech przyrodnich braciach czyli Bałwanie, Strachu i Chochole".

W roku ubiegłym, zachęcony przez kolegów, zmusiłem się do uporządkowania części spraw literackich, w wyniku czego jest już w opracowaniu redakcyjnym tomik utworów dramatycznych. Wydawnictwo obiecuje, że ukaże się on jeszcze tego roku.

A ze spraw aktualnych... Wróciłem kilka dni temu z Tarnogrodu, gdzie na Sejmiku Wiejskich Zespołów Teatralnych, ze studentami pedagogiki UMCS w Lublinie, wyreżyserowałem własną sztukę pt. „Stan nieważkości". Podobno było to przedstawienie udane.

Teraz zbieram materiały do nowej sztuki, której tematem będzie szeroko pojęta praca. W chwilach wolnych rozmyślam nad tymi legendarnymi już czasami, kiedy mecenasi dla uświetnienia wydarzeń składali u literatów zamówienia, a teatry zapraszały dramatopisarzy do wspólnej pracy nad nowymi tekstami. Nie śmiem marzyć nawet o takim typie współpracy jaki jest praktykowany na Broadway'u.

Miałem również tego roku i niepowodzenie. Nie udało mi się ułożyć jakoś współżycia z mrówkami faraona. Właśnie wczoraj odparliśmy z żoną ich kolejną inwazję. To doprawdy plaga.

Najbardziej odczuwalnym obecnie niedostatkiem dla mnie jest brak wody i normalnego mieszkania. Ufam, że się to wkrótce ułoży.

Wiem że Godot nie przyjdzie!

Czesław Kuriata

WIOSNA CZTERDZIESTU WIOSEN

Tej wiosny lekkość
ptaka trafionego
nagłym światłem
gdy nieruchomieje
przeciwwagą ziemi
i rozkwita niepokojem
pierwszego pąka

Ta wiosna czterdziestu wiosen
powtórzeniem wszystkich drzew
deszczem codziennego zmęczenia
brzozą spaloną słońcem
by świecić nocą w ciemnościach

Tej wiosny wszystkich wiosen
zawirowało koło powietrza
mego życia
w środku z ptakiem o piórach
już wyrastających z ziemi

W klimacie przyjaźni

Maria Bechczyc-Rudnicka

SZTUKA rumuńskiego dramatopisarza Michaila Sebastiana „Bezimienna gwiazda", której premiera na lubelskiej scenie odbyła się w kwietniu, została tu zrealizowana przez reżysera również rumuńskiego — w myśl umowy o przyjacielskiej współpracy, zawartej między Teatrem Narodowym im. Vasile Alecsandri w Jassach a Państwowym Teatrem im. J. Osterwy.

Nowa perspektywa takiej współpracy budzi w nas żywe zainteresowanie, albowiem pamiętamy dobrze obustronną satysfakcję, jaką sprawiła wymiana artystyczna między tymi teatrami w r. 1971, kiedy Teatr im. Osterwy zaprezentował Jassom świetne spektakle „Aktu przerywanego" Różewicza i „Kto ty jesteś" Brylla (w reżyserii Kazimierza Brauna), zaś Teatr im. V. Alecsandri pokazał Lublinowi Molierowego „Chorego z urojenia" w rewelacyjnej inscenizacji Cataliny Buzoianu-Panduru tudzież przedowcipną komedię współczesnego dramaturga rumuńskiego Andi Andriesa — „Duet", obrazującą przejścia młodej pary małżeńskiej, dwojga świeżo upieczonych absolwentów wyższej uczelni, w związku z decyzją podjęcia pracy kulturalnej na wsi (tematyka nader nam bliska).

Odnotowałam podówczas rzecz osobliwą: TN z Jass zastosował do „Chorego z urojenia" styl commedii dell'arte, a przecie poprzez brawurowo zorganizowaną bufonadę utorowała sobie drogę do widza prawda psychologiczna molierowskich postaci. Z kolei reżyser „Duetu", Victor Tudor Popa, nadając sztuce Andriesa kształt zgodny z kanonami estetyki awangardowej, potrafił przekazać widzowi przejrzyście treści utworu.

Krótko mówiąc, wznowienie partnerstwa z Teatrem im. Vasile Alecsandri należy uważać za cenne osiągnięcie kierownictwa lubelskiego teatru dramatycznego. Zespół teatru Jass od dawna cieszy się reputacją jednego z najlepszych zespołów kraju. Zapowiedź jego bliskiej wizyty u nas została przyjęta przez lubelską publiczność z dużym zadowoleniem.

Realizacja obecnej umowy przyjacielskiej, której znaczenie pragnęłam podkreślić powyższą retrospekcją, zaczęła się więc od współpracy głównego reżysera Teatru im. V. Alecsandri z grupą aktorów Teatru im. Osterwy. Calin Florian, laureat nagród za poszczególne inscenizacje, pokazywane na festiwalach ogólnokrajowych (m. in. za wystawienie „Pierwszego dnia wolności" Leona Kruczkowskiego), pracuje w teatrze od przeszło lat dwudziestu. Właściwie lepiej powiedzieć: w teatrach, bo tych scen było niemało. Na początku swej kariery otrzymał stypendium UNESCO, przebywał w ośrodku Międzynarodowego Instytutu Teatralnego w Paryżu. Potem objął na jakiś czas wykłady w bukareszteńskim Instytucie Sztuki Teatralnej i Filmowej, zajmując się zarazem reżyserią. Jeszcze nieco później zostaje w tymże Bukareszcie dyrektorem i reżyserem Teatru „Delavrancea". C. Florian ma w swym dorobku inscenizacje wielu znakomitych pozycji z klasyki narodowej i obcej, a także sztuk współczesnych (publiczności polskiej pokazał, w Warszawie i Łodzi, w r. 1971 — „Otella" oraz sztukę rumuńskiego pisarza I. D. Sirbu „Arka dobrej nadziei").

Co do postawy Calina Floriana wobec „teatru nowego", to w oparciu o wypowiedź zamieszczoną w programie do „Bezimiennej gwiazdy", można sądzić, że nie potępiając *en bloc* wszystkich eksperymentów, obawia się on jednak, by przesadne poszukiwania formalne nie przesłoniły głównej misji teatru — podejmowania odwiecznych problemów człowieka.

Wiadomości o autorze „Bezimiennej gwiazdy" podaje program Teatru im. Osterwy, rzec można — w telegraficznym skrócie. Dowiadujemy się tylko, że pisarz zginął w wypadku samochodowym 29 maja 1965 r., mając lat 38, że zdążył napisać (jak wynika z podliczenia tytułów) cztery sztuki, że ceniono również jego prace z zakresu krytyki. „Był — czytamy — prawnikiem z wykształcenia, dramaturgiem z zamiłowania. Parę lat spędzonych w Paryżu (1930—1931) pozwoliło mu poznać ówczesny teatr francuski, zawsze jednak czuł się bardziej związany z dramaturgią rumuńską, zwłaszcza z twórczością Iona L. Caragialego".

Wobec lakonizmu owych informacji wystarałam się, po obejrzeniu ciekawego spektaklu Calina Floriana, o egzemplarz maszynowy „Bezimiennej gwiazdy", by sprecyzować sobie cechy charakterystyczne pisarstwa jej autora. Otóż bezpośrednie spenetrowanie tekstu nasuwa wniosek, że poznany utwór, powstały gdzieś w latach trzydziestych, należy do tych sztuk typowo międzywojennych ocierających się o tzw. „szare" życie prowincji, a mających w swym klimacie coś niby niepowszedniego. Sprawcą owej „niepowszedniości" bywa w nich zazwyczaj jakiś intruz nieodgadnionej proweniencji.

Można by tu przytoczyć tytułem przykładu — „Ptaka" lub „Adwokata i róże", lecz po co sięgać aż do Szaniawskiego? Czy nie dogodniej będzie powołać się na bliższą analogię — z utworem rumuńskim, mianowicie z granym przez teatr lubelski w r. 1947 „Człowiekiem, który szuka śmierci", doskonałą komedią Victora Eftimiu, czołowego poety współczesnego Rumunii (wspomina o nim Allardyce Nicoll w znanych dwutomowych „Dziejach dramatu", zaznaczając, że wniósł pewien wkład do rozwoju teatru swego kraju sztuką z r. 1911 pt. „Niedokończona opowieść", pełną polotu fantazji, osnutą na tle podań ludowych).

Rzućmy pobieżnie okiem na owego „Człowieka, który szuka śmierci". Akcja jego rozgrywa się w małym miasteczku, w środowisku nijakim, gdzie drobne wypadki urastają do rozmiarów wielkich wydarzeń, toteż nic dziwnego, że poczciwy, solidny handlarz win, rozmiłowany w rybołówstwie, zostaje pasowany na bohatera bez strachu, gdy wyłowił z nurtów rzeki niedoszłego samobójcę. Popularność tego dość opieszałego kandydata na burmistrza od razu rośnie wśród współobywateli, żądnych takich emocji. Pogrążone w półśnie miasteczka przedwojennej Rumunii, podniecając zmysł satyryczny Eftimiu, nasunęły mu pomysł wprowadzenia elementu obcego, zdolnego wywołać zaburzenia w ospałym środowisku. Stąd postać Włóczęgi. Kim jest? — Eftimiu otacza go mistyczną mgiełką, ale dla wytłumaczenia ekstrawagancji nieznajomego wystarczy przypuścić, że jest on ofiarą zawodów miłosnych, wykolejonym obieżyświatem. Takie przynajmniej przypuszczenie podsuwał w rozmowach sam autor.

Trochę podobnie (choć i całkiem inaczej!) mają się rzeczy w „Bezimiennej gwieździe". Do biura zawiadowcy zacisznej stacji takiej rumuńskiej „Pipidówki" wtargnęła nagle młoda kobieta, olśniewająca urodą i szykiem białej sukni wieczorowej. Pasażerka bez biletu, usunięta z przedziału pierwszej klasy. Zachowuje się nieprzytomnie jakby spadła z firmamentu. I tu powstaje pytanie: Kim jest? Nie sposób czegoś się od niej dowiedzieć. Sugeruje to początkowo bliżej nie określoną symbolikę. Odcyfrowany w finale (do pewnego stopnia) jej życiorys zdradza przecie podobieństwo z życiorysem człowieka, „który szukał śmierci": zawody miłosne, bezcelowa włóczęga po świecie — tyle że w warunkach luksusowych... Tak samo też zjawienie się jej w bezbarwnym środowisku wywoła zamęt, dający sposobność do satyry na wegetatywne bytowanie prowincjonalne.

Lecz Mihail Sebastian wykorzystał tę sposobność mniej skwapliwie niż Eftimiu, który „napuścił" na różne typki swego inteligentnego Włóczęgę. Satyra Sebastiana wydaje się nie dość konkretna. Znajduje wprawdzie trochę żeru w nazbyt swojskiej atmosferze dworca („machlojki" z biletami, sprawka skonsumowania przejechanej przez pociąg kaczki, wałkowana przydługo w I akcie), ale poza tym główną bazą elementu satyrycznego sztuki mają tu być poczynania fanatyczki dyscypliny szkolnej, wszędobylskiej Panny Kuku, przerysowanej ponad wszelką realną możliwość. (Zresztą obyczaje takie od dawna już są nieaktualne).

W gruncie rzeczy sztuka została napisana przede wszystkim dla pokazania fascynującej autora indywidualności. Jest nią Profesor, nauczyciel miejscowej szkoły, rozmiłowany w astronomii nabywca — o zgrozo! — książki za 22 tysiące lei, katalizator owego nastroju poetyckiego, o który najwięcej chyba chodziło międzywojennym autorom sztuk tego rodzaju.

Toteż zarówno inscenizator, jak nasz aktor odtwarzający postać Profesora Miroiu, dołożyli usilnych starań, by taki nastrój wywołać. W ogóle Henryk Sobiechart wręcz budzi podziw swymi coraz szerszymi możliwościami. Jego zapatrzony w gwiazdy odkrywca dalekiej „bezimiennej" koncentruje na sobie całą sympatię widza. W przeciwieństwie do Mony, tej „gwiazdy", Bogiem a prawdą — przyziemnej, przywiązanej do swego *train de luxe*, acz w nagłych napadach histerii gotowej do ucieczki. Trafnie interpretowana przez Annę Świetlicką, przyciąga Mona uwagę ekscentrycznym zachowaniem się i urodą, nie angażując widza emocjonalnie w swoje kłopoty i przeżycia.

Wszystkie role są w tym spektaklu skrupulatnie dopracowane. Barbara Koziarska, której dar komiczny wysoko cenimy, gra Pannę Kuku, zgodnie z wolą reżysera, supergroteskowo, wzrusza jednak w upokarzającej rozmowie z Grigiem. Zabawny jest w swej niezmąconej powadze Ichim, pracownik kolejowy „do wszystkiego" (Stefan Lipiec). Zasila humor sytuacyjny nieporadny Chłop (Ludwik Paczyński). Uczennica, w wykonaniu Anny Pater, przyłapana na dworcu wygląda na autentycznie zastrachaną, co nie przeszkadza jej figlarnie zerkać w II akcie na przybyłego z Sinaji eleganckiego pana. Bo też ten „opiekun" Bezimiennej, Grig, którego gra Piotr Wysocki, jest, jak to się mówi — „przekonująco" uwodzicielskim nicponiem. Widza... rozbraja — brakiem zakłamania.

Mihail Sebastian — „Bezimienna gwiazda". Henryk Sobiechart (Profesor). Anna Świetlicka (Bezimienna). Piotr Wysocki (Grig). Tadeusz Kuduk (muzyk Udrea)

Fot. Z. Zugaj

Do postaci muzyka Udrei, stworzonej przez Tadeusza Kuduka, można śmiało zastosować staroświeckie słówko „kreacja". Jego „odśpiewanie" skomponowanej przez siebie symfonii wywołało salwy śmiechu. W niedużej roli Pescu udało się Waldemarowi Starczyńskiemu zarysować typową postać jowialnego kupca, któremu uśmiech znika z twarzy z chwilą gdy zagrożony jest interes. Odnotujmy też należytą stanowczość Jana Urygi w roli służbisty Konduktora.

I wreszcie, wreszcie — niezawodny Włodzimierz Wiszniewski, szczodrze serwujący humor sytuacyjny w akcie I. Rzekłoby się — od lat Naczelnik dworca na rumuńskiej „kolei żelaznej".

W udatnej scenografii Liliany Jankowskiej najbardziej podobała mi się zatłoczona książkami „kawalerka" Profesora, z jej niechlujnym barłogiem, z którego można wszak odlecieć... na Wielką Niedźwiedzicę! Ale i znaki zodiaku przy kulisach są nie do pogardzenia.

Tło muzyczne Józefa Skrzeka, o przewijających się elementach muzyki konkretnej, skutecznie podtrzymuje nastrój kolejowy i sideralny.

W sumie, dzięki rzetelnej, przyjacielskiej współpracy wybitnego reżysera rumuńskiego z grupą artystów Teatru im. J. Osterwy, otrzymaliśmy spektakl odtwarzający wiernie łagodny klimat subtelnej sztuki Mihaila Sebastiana, atrakcyjny dla widza znużonego nadmiarem widowisk brutalnych.

Kamena str. 10

Wrześniowa edukacja

Marek Adam Jaworski

Akcja tej powieści dla młodzieży (pt. „Drewniane szable"), złożonej do druku w Wydawnictwie Lubelskim, rozgrywa się między marcem a wrześniem 1939 roku. Miejsce akcji — jedno z miast między Bugiem a Wisłą.

Głównym bohaterem jest Kazik Kozak, narrator. Jego ojciec, skazany za działalność lewicową, znajduje się jeszcze w więzieniu. Zula i Wojtek chodzą z Kazikiem do tej samej szkoły: cała trójka zdała właśnie do szóstej klasy. Tomek jest synem nauczyciela — „Muchy" (Muchorowskiego). Kazik poznał go w czasie ostatnich wakacji. Teraz Tomek wraz z matką, która związała się z panem Jerzym, uciekają z Poznańskiego przed Niemcami. Agnieszka zaś jest córką pracownika ministerstwa spraw zagranicznych. Spotkanie następuje w dramatycznych okolicznościach.

KIEDY rano spoglądałem na bezchmurne niebo, nie przypuszczałem, że ten zaczynający się dzień przyniesie tyle nowości. Przede wszystkim ruch na ulicy zaczął się od wczesnych godzin. Dosłownie samochód przejeżdżał za samochodem, wszystkie w jednym kierunku.

Zastanawiało mnie, że na niektórych wozach były umieszczone chorągiewki. Może na jedną nie zwróciłbym uwagi, ale tych chorągiewek było sporo. Wszystkie ozdabiały luksusowe limuzyny.

— Ambasady wieją... — Ojciec Zuli stanął obok mnie, dzielił nas tylko płot. — Ale ja nie odróżniam flag.

— O, ten samochód jest z ambasady belgijskiej! Poznaję po kolorach.

— Po kolorze samochodu? Zgłupiałeś?

— Nie, znam się trochę na flagach. Wie pan, panie Woźnicki, ja mam w domu atlas i na końcu tego atlasu są pokazane flagi różnych państw. Niektóre zapamiętałem, chociaż mogą mi się pomieszać.

— Proszę, jaki się znalazł uczony...

Machałem ręką, pozdrawiając przejeżdżających, ale nikt mi nie odpowiadał. Myślałem, że ojczym Wojtka mógłby tu sypnąć mandatami, bo kierowcy na pewno nie przestrzegali przepisów i pędzili na złamanie karku.

Pojawiły się też tabory konne z żołnierzami. Szarzy, zmęczeni spoglądali wokół ponuro.

Samochody usiłowały je wyminąć, ulica była wąska, szybko zaczęły się tworzyć zatory. Klaksony wyły bezustannie.

— Jeszcze nam jakiejś biedy przyniosą — powiedziała matka. — Trzeba tylko teraz, aby zjawiły się niemieckie samoloty.

Zjadłem śniadanie i znów stanąłem przy płocie. Doszedł Wojtek i tak razem obserwowaliśmy tę bezładną ucieczkę.

W pewnym momencie, a było to już koło południa, spojrzałem w prawo i nie uwierzyłem własnym oczom. „Mucha" prowadził za rękę Tomka. Tomek tutaj? Nikt nie spodziewał się jego przyjazdu.

— Cześć — powiedział na mój widok. Tak zwyczajnie cześć, jakbyśmy się rozstali wczoraj, jakby to było zupełnie naturalne że on tutaj, u mnie...

— Cześć, Tomek — odparłem. — To mój przyjaciel Wojtek. — Podali sobie ręce. Wojtek zorientował się, że to syn „Muchy".

— Dawno przyjechałeś?

— Dzisiaj. Samochodem.

— To musiałeś przejeżdżać pod naszym domem? A ja cię nie poznałem.

— Trudno tu kogoś poznać. Taki ruch...

— I co? Zostajesz u nas?

— To się dopiero okaże. Widzisz, jest mama i pan Jerzy. Pan Jerzy z mamą chcą pryskać dalej, a tata znów pragnie, abym tu z nim został.

— I ty się zastanawiasz?

— A co ja tu mam do gadania?

— Ale chcesz zostać?

— Sam nie wiem. Wiesz, przywiozłem ci „Balsamo", nie dokończyłeś tej książki.

To już mnie rozczuliło do głębi. W takiej chwili Tomek pamiętał o „Józefie Balsamo"? Wierzyć się nie chce!

— Chodź, pokażę ci moje gospodarstwo — zaproponowałem.

— Króliki masz?

— Sprzedałem.

— Szkoda. A ty jesteś — zwrócił się do Wojtka — tym Wojtkiem, który ma za ojczyma policjanta?

Wojtek spiorunował mnie wzrokiem.

— Ten Kazik to wszystko musi wypaplać!

Próbowałem załagodzić sytuację, nic się przecież złego nie stało, ale Wojtek był najwyraźniej niezadowolony. Patrzył na mnie z ukosa.

Wyszła matka, „Mucha" przedstawił jej Tomka. Tomek podał rękę, ale matki w rękę nie buchnął. Poirytowało mnie, że taki dzikus.

Nie ochłonąłem, a tu czekała mnie nowa niespodzianka. Wielka niespodzianka.

Przed domem, w którym mieszkała Zula, zatrzymała się lśniąca limuzyna. Drzwi się otworzyły i z samochodu wysiadła... Agnieszka. Teraz to już zbaraniałem do reszty. Aż gębę otworzyłem. Agnieszka też mnie dostrzegła.

— Kazik, fajnie, że jesteś. — Przez płot ucałowawała mnie w policzek.

Zula, która najwidoczniej obserwowała całą scenę, wybiegła z domu. Nie była jednak wcale zagniewana, no, ale może właśnie wtedy, kiedy Agnieszka mnie całowała, wyskakiwała właśnie na spotkanie.

— Otwórz tę bramę, zajedziemy na podwórze! — Przeskoczyłem przez płot i pomogłem Zuli. Z samochodu wysiadła matka Agnieszki i jakiś pan. Szofer dalej siedział za kierownicą.

— Mamę znasz, a to mój tata. — Ojciec Agnieszki skinął na mój widok głową, ale ręki mi nie podał. Matka Agnieszki potraktowała mnie tak samo. A niech im tam!

Znalazła się już i matka Zuli. Zostawiliśmy starszych samych, Zula z Agnieszką przybiegły do nas okrężną drogą. Ja, jak poprzednio, przelazłem przez płot.

Teraz musiałem przedstawić Tomka Agnieszce, a właściwie Agnieszkę Tomkowi, a ten znowu mnie wkopał. Mało go nie zatłukłem, kiedy usłyszałem:

— Ty jesteś Agnieszka, a ty jesteś Zula. Dwie narzeczone Kazika. Wszystko jasne.

Agnieszka się roześmiała, ale Zula naburmuszyła się straszliwie. Wojtek — nie wiem, czy chciał ratować sytuację, czy też odwdzięczał się za moje gadulstwo — wyjaśnił, że Tomek był ze mną razem w Zakopanem.

Starałem się nadrabiać miną, ale na pewno by mi to nie wyszło, gdyby nie sama Agnieszka. Siedliśmy na ławce, a ona szybko zmieniła temat.

— Co ja widziałam, co ja przeżyłam w tej Warszawie... Nie macie pojęcia! Ciągle tylko bomby i bomby. Jeden nalot się kończył, drugi zaczynał. Dwie koleżanki z naszej klasy zostały zabite na ulicy. A jednemu koledze odłamek urwał rękę. Tak dostał nieszczęśliwie. U was spokój, wy nie wiecie, co się dzieje. Tu prawdziwa sielanka!

— Wczoraj i nasze miasto Niemcy bombardowali — powiedziałem, jakbym się chciał pochwalić.

— Do nas w drodze też celowali. Wjechaliśmy pod drzewa i schowaliśmy się na polu wśród kartofli. Ja mam zieloną sukienkę, mama też, a tata narzucił na siebie seledynową pelerynę.

— Co wam to pomoże?

— Jak to co? Maskujemy się. Z góry jest wszystko zielone. I kartoflisko i kapusta i las. My też zieloni.

— Ale wojsko również jest zielone.

— No właśnie. To kolor maskujący.

Tomek słuchał, na razie nie zabierał głosu, a potem nagle powiedział:

— Nas też chcieli Niemcy ostrzelać. Jeden samolot zniżył się tak nisko, że widziałem głowę pilota. Siekli z karabinów maszynowych. A wiecie w co trafili? W koło od samochodu! Z celnością to u nich słabo.

— To się ciesz! — zawołała Agnieszka. — Dzięki temu jeszcze żyjesz! No, ale prawdę mówiąc, mieliście szczęście. Myśmy po drodze widzieli sporo zabitych.

— Aga, i co myślisz robić dalej? — Pierwszy raz powiedziałem do niej Aga. Nawet nie wiem, dlaczego. Zdziwiła się.

— Skąd wiesz, że tak na mnie w klasie wołają? Śmiesznie, co? Aga! Ale ja to lubię. Co dalej? Pryskamy dalej na południe. Tata mówi, że front musi się gdzieś usta... ustabilizować. Trudne słowo. Podczas poprzedniej wojny Niemcy byli pod Paryżem, ale do Paryża nie weszli.

— Dlaczego wobec tego nie zostaliście w Warszawie? — spytałem.

Może wyszło to głupio. Agnieszka nagle spoważniała, przycichła, po prostu się zmieniła.

— Warszawa ma być twierdzą.

— To dlaczego twój ojciec tej twierdzy nie broni, tylko jest tutaj? — atakowałem.

Zdenerwowała się.

— Mój ojciec nie jest od wojowania, tylko od polityki... — Ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się. Normalnie rozpłakała się. Widocznie cały czas nadrabiała miną. A może ostatnie przeżycia dopiero teraz uzewnętrzniły się tak gwałtownie?

Rys. E. Inglot

— Agnieszko, Agnieszko! — rozległo się wołanie. Poznałem głos matki dziewczyny.

Podeszliśmy w czwórkę do płotu. Agnieszka jakoś się uspokoiła. Z domu wyszła też moja matka i „Mucha".

Po drugiej stronie stali rodzice Agnieszki.

— Chodź, musimy dalej jechać. Nie możemy marnować czasu — powiedział ten, który nie jest od wojowania tylko od polityki.

— A państwo tak daleko? — zapytał „Mucha".

— Co daleko?

— Tak daleko myślą nawiewać?

— A kto panu powiedział, że my nawiewamy? Po prostu będziemy się bronić na skróconym odcinku frontu.

Moja matka wiedziała, że ojciec Agnieszki pracuje w ministerstwie spraw zagranicznych. Spoglądałem teraz na nią i widziałem, że dzieje się coś dziwnego. Z jej twarzy zniknął gdzieś spokój, nienaturalnie poczerwieniała i wyrzuciła z siebie, tak, wyrzuciła to, co musiało już długo dojrzewać:

— Szczury uciekają z tonącego okrętu. Widzicie, do czego wasze rządy doprowadziły. Uczciwych ludzi zamykaliście w więzieniach, paktowaliście z Hitlerem i teraz doczekaliście się! Ja wam to mówię. Ja, prosta kobieta. Ślepiście byli? Kto wam oczy czarną wstążką zawiązał? I teraz co wyprawiacie? Zostawiliście Warszawę na pożarcie! Gdzie to wasze „silni, zwarci, gotowi"? Silni w gębie. Zwarci przy korycie. Gotowi do ucieczki. Idźcie, idźcie, do diabła. My tu sobie bez was damy radę.

— Pani Kozakowa, niech się pani uspokoi. — „Mucha" chwycił matkę za ramię. Wyrwała mu się zdecydowanie.

— Ja to musiałam kiedyś wygarnąć. I co te dzieci winne? Dlaczego te dzieci muszą teraz tak cierpieć? A pana córka też, panie ministrze, czy jak tam do pana mówią...

— Pani jest komunistyczną agitatorką! Pani powinna siedzieć pod kluczem! Ja panią każę zamknąć. Ja panią... — Ojciec Agnieszki podbiegł do matki z pięściami. I nie wiem, jakby się skończyło, gdyby nie płot, gdyby nie Agnieszka, która znów się rozszlochała, gdyby nie „Mucha", który powiedział bardzo spokojnie, choć wydawało mi się, że był nie mniej zdenerwowany:

— Niech tu pan ludzi nie straszy. Droga wolna...

— Tak, wolna — krzyczała już spazmatycznie moja matka. — Ale jeśli kiedyś zechce pan tutaj wrócić, to po moim truple. Do widzenia panu! Szczęśliwej podróży! — Jak ona powiedziała to *szczęśliwej podróży*. Nie, nigdy nie znałem mojej matki. Tyle lat z nią byłem, zdawało się, że wiem o niej wszystko, a ten moment, ta chwila wszystko przewróciła mi w głowie do góry nogami.

Ale w tej całej sytuacji zachowałem się jak mężczyzna. Ani na moment oko mi mgłą nie zaszło.

— Trafiliśmy w ładne towarzystwo. Chodź tutaj, Agnieszko. Jedziemy! A panią to ja sobie zapamiętam! — Zagroził.

— Marianna Kozak, proszę łaskawego pana ministra. Marianna Kozak! — powtórzyła. Córka Jana i Stefanii. Data urodzenia też potrzebna? I ja mam dobrą pamięć!

Zawarczał motor. Zawołałem jeszcze:

— Agnieszko! Aga! — I dodałem, nie wiem, czy zrobiłem dobrze, czy źle, ale nie mogłem tak tego wszystkiego pozostawić: — Napisz do mnie. Napisz do mnie gdziekolwiek będziesz!

Uczyniła ruch, jakby chciała podbiec i pożegnać się ze mną, ale ojciec dość brutalnym ruchem pociągnął ją w stronę samochodu.

— Janek, jedziemy — zawołał do kierowcy. — I tak za dużo z tymi chamami rozmawiałem.

— Chamami, chamami! Ja ci dam chamami! — Teraz i ja chwyciłem matkę za rękę, bo gotowa już była ten płot przesadzić.

Brama była otwarta. Samochód skręcił na ulicę i pomknął w prawą stronę, na południe...

Do płotu zbliżyła się, milcząca dotąd, matka Zuli.

— Pani Kozakowa, ja powiem, co powiem. Pani prawdę wygarnęła. To nie są ludzie. A jeśli to są ludzie, to nie tacy jak my. To niby była moja koleżanka, razem do szkoły chodziłyśmy. Jej ojciec był notariuszem. Miał brata w Warszawie, to i tam ją wysłał. Miała studiować. Ale gdzie jej tam studia były w głowie! Poznała tego swego pana ministra... Jaki to minister, dyrektor departamentu, a nawet zastępca dyrektora. To znaczy

Dokończenie na str. 16

Kamena str. 11

ŻYCIE Z CYRKIEM

Bronisław Kowalski

CYRK odjechał nad ranem. Ale jeszcze poprzedniego dnia, nim na arenie przebrzmiały dźwięki orkiestry, między kolorowe wozy wjechały traktory z przyczepami i ludzie z obsługi zaczęli demontować ogrodzenie. Całą noc trwało składanie obozu. Plac przy ulicy Zana z wolna pustoszał, a przyjezdne miasteczko znikało. Gdy wszystko się skończyło, na uboczu pozostał samotny dom. Wokół zaległa cisza.

I wówczas do domu powrócili mężczyźni, ojciec i syn. Rodzina znów zrobiła się pięcioosobowa. Gdy tylko przyjechał cyrk, obu ich wyniosło. Dokąd? Nie wiadomo. Rzadko zdradzają żonom swe zamiary. Jadą tu, a wracają stamtąd.

Cyrkowcy występowali tylko przez dziesięć dni. Rozłożyli swój obóz przed świętami, trzynastego kwietnia, w piątek. Tydzień przed tym wydarzeniem pojawił się na placu pierwszy samochód. Starsza z kobiet, teściowa, powiedziała wówczas proroczo:

— Oho, coś mi się zdaje, że znów będziemy mieli cyrk.

osiemnaste urodziny. Od starszej pani dziewczęta dostały dwie piękne róże z jej ogródka, bo patrzyły łakomie na kwiaty, gdy przyszły sąsiadów zapraszać.

Polacy z „Areny" byli bardziej spokojni. Program się skończył i cicho.

Młode może gdzieś poleciały, ale raczej same małżeństwa były.

— No i chłop w takim przypadku musi iść do kobity — osądziła teściowa. A te cyrkówki ładne, ciemne — zachwyca się — że jakbym jeszcze miała synów, to bym pożeniła.

Gdy następny cyrk przyjedzie, obie panie będą z góry wiedziały, o co artyści poproszą na samym początku. Poproszą o prąd. Poprzednio dwa razy tak było, dopóki ich nie przyłączyli do sieci na słupach.

— Widzę, dziecko mają takie małe, jak u nas, no to, panie, nie dam? I przeciągnęło się przewody z domu do wozów, które pierwsze przyjechały przed świętami.

Za sąsiedzką pomoc otrzymały obie panie darmowe bilety do sektora „A". Drogie, dobre miejsca — chwaliły sobie. Ta młodsza rzadziej bywała, bo ma swój własny cyrk. O, tu w łóżeczku — mówiła, wskazując na malucha.

Za to teściowa, gdy cyrk przyjechał, poszła najpierw na cały program. Potem na pierwszą połowę, a później już tylko na drugą. W następne dni po muzyce poznawała numery. Siadała na ławeczce w ogródku, słuchała, po co jej radio włączać. Ciekawie jest, jak cyrk przyjedzie. Bo ona nie lubi mało ludzi.

— Ja lubię dużo ludzi jak mi chodzi w sąsiedztwie — taką ma ciekawość świata.

Najchętniej to by zamieszkała na Krakowskim Przedmieściu, ale wybudowali ten dom dwadzieścia lat temu i już tu siedzą na stałe. Niemal wszystkich sąsiadów z okolicy wywłaszczono, gdy powstawało nowe osiedle. Zrobiło się pustawo między dziczejącymi sadami. Jedyne najbliższe sąsiedztwo to cyrk raz na jakiś czas. Mąż uwielbia ten spokój, ale ona nie. No i on za nic by się nie przeniósł do bloków. Nie lubi hałasu i harmideru, więc i do cyrków tylko się przyzwyczaił, ale ich nie polubił.

— W końcu mówi, że już lepiej ten cyrk wytrzymać, niż mieszkać gdzie indziej — powtarza kobieta słowa męża.

Ale to nigdy nie wiadomo... Ich dom został i oni w nim, choć już byli wywłaszczeni. Nawet dwa razy. Sześć lat temu przyszło urzędowe pismo, że w ciągu trzech miesięcy zostanie załatwiona sprawa przeprowadzki.

— Myśmy ten dom sami budowali — opowiada teściowa. — Co pan myśli? Sześćdziesiąt sześć wiader masy wyrobiłam. Dosyć będzie? Teraz dom stoi, ale moje nogi nie chcą stać. To ja miałam oddać? Za skarby świata. Powiem szczerze, a prawdę — najpierw mąż się zdenerwował. Jak ktoś mówił o bloku, to on trzęsawki dostawał. Mieszkamy trzydzieści dwa lata na tym miejscu. Człowiek się od grosza dorabiał. Mąż taki dłubak jest, że wszystko sam potrafił zrobić. O na przykład zobaczył w telewizji, jak choinkę wykonać, zrobił, ale w październiku i do świąt nie postała, gdzie tam, tydzień może i obeschła. A tak bez żartów, to niech pan spojrzy, wszystko w domu jego własna robota.

Niełatwo było przystać na eksmisję, ale takie się korowody zaczęły, że w końcuśmy się chcieli zgodzić. „Trudno, podpiszę — mówi mąż — niech mam święty spokój". A wtedy poszło o te metry. Płacili nam za sto dziesięć, a dom ma sto czterdzieści osiem, bo tak trzeba było budować dwadzieścia lat temu. I mówią w urzędzie: trzeba się eksmitować do piętnastego marca. Zaraz mieszkanie dawali. A ja mówię: „Mój dom się nie wali, gorsze tu rudery stoją i za metry się należy, ile jest".

Potem przyjechała kuzynka i oświeciła nas: zimą eksmitować nie można, nie ma prawa takiego. To ja napisałam listy. Jeden: Ministerstwo, Warszawa. Taki adres, bo nawet nie wiedziałam, jakie ministerstwo. I drugi: Partia, Warszawa. Przez trzy tygodnie jakby mi kto szpilki wbijał, ale minęły trzy tygodnie i dwa dni i przyszła odpowiedź, że będzie komisja. A myśmy już w tym czasie dostali 82 tysiące za dom. Ale czekamy. No i nadeszło pismo o ponowne rozpatrzenie sprawy.

Komisja przyjechała. Obejrzeli dom, stwierdzili, że solidny, że stoi z dala od osiedla i dwadzieścia metrów od krawężnika, więc nie przeszkadza. A zatem zgoda, może zostać, zawyrokowali. Nie ruszając się z miejsca, rodzina powróciła z dalekiej podróży do siebie i osiadła znów na swej dziedzinie.

— A już mi wcześniej ktoś ze spółdzielni mieszkaniowej doradzał — wspominała kobieta — żebym papiery wszystkie wyrzuciła, bo nie będą potrzebne: plany, rachunki, zezwolenie na budowę i kupno działki. A baba, jak to mówią, głupia, ale nieraz mądra: zostawiłam te papiery i okazało się, że słusznie, bo później przyszło wezwanie, żeby je wszystkie przedłożyć.

W maju nadeszło pismo, że sprawa pozytywnie załatwiona i że w ciągu trzech miesięcy zdecydują, że nie będę wywłaszczona. Poszłam do biura, a tam mówią, żeby przyjść po lecie, jak się urlopy skończą, bo teraz to trudno coś dobrze załatwić. Odczekałam do września, a tu nic. Ja się przez całe życie tak nie okleiłam, jak wtedy. Ale nie ustąpiłam. We wrześniu powiedzieli w urzędzie: „My wszystkich papierów nie mamy jeszcze". A ja: „Już tu do was więcej nie chcę przychodzić" I wtedy ten gość za telefon, porozmawiał z jakimś i mówi mi: „Co pani zrobiła takiego, że ja panią muszę odpisywać. Jeszcze nikogo w życiu nie odpisywałem". Wcześniej jeden znajomy twierdził: „Nie wygrasz!" „Nie wygram może — mówiłam — bo różnie człowiek myślał, ale czarno na białym muszę mieć. Za dużo się przy tym domu narobiłam. Jak już wisieć, to za obie nogi". A, wie pan, chodziły tu komisje, patrzą — dom nie głupi, ale ludzie głupie, dadzą się wyrolować. Taka kotłomawina, Chodzili, pytali, ile klas mam. A ja mam siedem. No, mówię panu, baba głupia, ale nieraz mądra. Nie dałam się wykołować. A pieniądze zwróciłam.

W ubiegłym roku, nim cyrk przyjechał, patrzę — chodzą tu obok geodeci. Poszłam, pytam, co i jak. Oni nie bardzo wiedzieli, ale z planów niby wynikało, że będzie tu blok stał, jakiś taki łamaniec. Na miejscu mojego domu nie, ale zahacza o komórkę, dziesięć metrów od budynku. Mąż mówi: „Lepszy już ten cyrk raz na kiedyś". Poszłam więc pytać w urzędzie, co to za plany? „A jeszcze nie wiemy dokładnie — odpowiedzieli — to tylko takie wyrysy. Niech pani przyjdzie w marcu". W marcu byłam, też nie wiedzieli. To teraz pójdę w maju. Mówili, że będą wiedzieć. Zobaczymy.

Malec wyrzucił smoczek z wózka i młodsza z kobiet podbiegła, aby podnieść.

— A niech pan napisze — dodała teściowa — że z cyrkiem to nie kłopot, tylko dlaczego MPO tych papierów nie posprzątało? Pan wyjrzy przez okno, jak na pobojowisku mieszkamy.

Kobieta wyjrzała przez okno na pusty plac, na którym zapewne jeszcze raz lub dwa razy w roku rozłożą obóz przelotni przybysze, inni niż ich pięcioro, pewnych miejsca swego gniazda.

— Ale cyrkowcy tu lepiej mają — powiedziała — niż na Podzamczu. I ja jestem za tym, żeby tu przyjeżdżali. Nic nam nie zrobili, nic nie ukradli. Zresztą są dozorcy. Z jednym nawet rozmawiałam. Faktycznie oni mają wielkie psy. Jeden ważył pięćdziesiąt dwa kilo. Nawet miał gaganiec. Stróż opowiadał, że dwadzieścia siedem lat pracuje w cyrku. W trzynastu państwach był. A mieszka... Gdzie on mieszka? Aha, w Szczecińskiem. Sam został, żona mu umarła. Tak żeśmy sobie rozmawiali na odjezdnym...

— Ale pewnie latem dopiero — powątpiewała młodsza, synowa.

Gdy zaś po kilku dniach pojawiło się więcej aut, starsza orzekła:

— Będzie niedługo.

— Na to wygląda — zgodziła się młodsza.

I od kobiecego wyczekiwania rozpoczął się w Lublinie tegoroczny sezon cyrkowy.

Potem cała rodzina widziała, jak ich samotny, piętrowy budyneczek, stojący z dala od bloków osiedla im. Bolesława Prusa, nagle zmalał, przycupnął i wyskromniał przy wielkim pagórze namiotu, który stanął zaraz za ogrodzeniem. Bo, ile — dziesięć, piętnaście metrów? Na ozdobę błysnął u samego szczytu żarówkowy dumny neon: „Cyrk Arena".

Zaczęły się występy. Orkiestra, gdy natrąbiła w trąbki i zabębniła w bębny, to jakby grała w sąsiednim pokoju. Przez brezent wzrok nie przeleci, ale dźwięki swobodnie, więc co wieczór mieszkanie wypełniało się głośną muzyką.

To przez ten rejwach i hałas amatorzy spokoju, ojciec i syn, dostawali każdego dnia nagłej chęci do wyjazdu. Wyprawiali się więc tajemniczo na ryby. Za to kobiety bardzo przyjemnie żyły sobie z cyrkiem. Różne tajemnice artystycznego życia poznały dzięki gościom. Wiedziały na przykład, że słonie wyprowadzano na spacer między pobliskie jabłonie dawnego sadu.

Wcześniej nikt z władz miasta nie zapytał lokatorów domu przy ulicy Zana, czy sąsiedzi cyrkowi będą im odpowiadać. Ale protestów nie było, bo głosy w rodzinie szczęśliwie się podzieliły: dwa na „tak", dwa na „nie".

W ubiegłym roku latem, kiedy przejezdni artyści po raz pierwszy rozbili obóz, młodsza z kobiet spodziewała się dziecka. A już tej wiosny mały obywatel z niemowlęcym zadziwieniem słuchał cyrkowej orkiestry. Nawet przy niej spokojniej zasypiał.

Teściowa uśmiechała się do synowej:

— Nie na darmo chodziłaś w zeszłym roku co dzień do cyrku. To teraz masz małego cyrkowca.

— W ciąży na dyskotekę chodzić nie mogłam, więc do cyrku. Może mój mały wyrośnie na klowna? Niech będzie sprytny w życiu!

No i same radości wynikają z artystycznego sąsiedztwa.

— Może wstąpię z synkiem do cyrku? — swawolnie zamarzyła sobie młoda mama. — Chyba, że jakiś cyrkowiec wcześniej mnie porwie na linę. Zależy, jakby na cienką, to nie, ale na grubą może bym poszła.

Poprzednio przyjechał „Humberto", cyrk czeski. Drugiego września okazało się, że u Czechów bardzo dużo Stefanów i imieniny na arenie z orkiestrą trwały do drugiej w nocy. Potem jeszcze dwie Czeszki obchodziły hucznie

Kamena str. 12

Między okładkami

Stanisław Srokowski: „Nie obecny"

Czytelnik, 1978, str. 362, cena 38 zł.

Ile się ma pretensji do tej powieści! Paweł Glinka, inżynier, wynalazca, posiadający markę za granicą, wraca na wieś i popełnia samobójstwo albo bez powodu, albo z powodu nieotrzymania instalacji elektrycznej dla swojego gospodarstwa. Również pochodzący ze wsi Piotr Elenay (rdzennie chłopskie nazwisko!) posiada konstytucję psychiczną taką, jakby był wnukiem Marcelego Prousta. Kinga Elenay nie mówi o swojej matce inaczej niż „pani Mikstal" to znaczy z nazwiska, nie wszedłszy z nią — w dodatku — w żaden choćby tylko stereotypowo pokoleniowy konflikt. Pani Mikstal — malarka wykonuje akt swojej córki na jej zamówienia, gdyż w przeciwnym razie — jak komentuje — złożyłaby dowód, że ustępuje jej pola jako kobieta. Wystarczy? Dodajmy sztuczne scenki redakcyjne wprowadzone tylko po to, by cały redakcyjny zespół mógł przedefilować przed okiem czytelnika jak kukiełki w szopce popisując się dowcipem i niewymuszonym stosunkiem do życia (na jedno kopyto). Dodajmy peregrynacje po wsi jak po obszarze zasnutym elizejską mgłą. (Te gęby chłopskie. Albo kurzy się z nich głupota, albo idzie dyskurs godny postaci Fontenella). I po co temu Piotrowi wyjaśniać powód śmierci Pawła? Po to, żeby autor miał sposobność do swoich socjologiczno-historycznych entliczek-pentliczek? Nic się nie trzyma. Ale wyobrażamy sobie, że na tym tak fuchowo skleconym stelażu oparta penetracja psychologiczna trzyma się mocno. Ta jednostkowa, ta wyizolowana ze społecznego kontekstu. Ta zawarta w powieściowych didaskaliach. Osobliwy to zysk, kiedy tekst główny nie wyszedł z inteligentnie zrobionej powierzchowności.

★

Adam Sikora: „Spotkanie z filozofią"

Iskry, 1978, str. 406, cena 40 zł.

We wstępie autor zastrzega się przeciw zamiarowi profesjonalnemu. Jego książka ma zawierać plotki na temat systemów filozoficznych. Nie można powiedzieć, że nie spotkaliśmy się z takim ujęciem, mimo to wędrówkę od Talesa do Marksa odbywamy z zainteresowaniem. Czy jednak nie są to kuchenne schody filozofii? Czy nie wytrych do skarbnicy wiedzy? Mimo wszystko filozoficzne podejście do filozofii jest podejściem jedynym i zyskawszy nieco atrakcyjnych dykteryjek (np. Kant, mieszkaniec Królewca, nigdy nie widział morza) mamy trochę niedosytu. Tym bardziej, że sam autor niekiedy się zagalopowuje. Np. tam, gdzie o poglądach Sokratesa relacjonuje: „Cnoty i mądrości nauczyć się niepodobna". Na odwrót. Zresztą sam na stronicy następnej referuje rzecz inaczej. Ale nie grymaśmy. O filozofii przystępnie — i tak zadanie na barki Atlasa.

★

Ludwik Stanisław Liciński: „Halucynacje", „Z pamiętnika włóczęgi"

Wydawnictwo Literackie, 1978, str. 270, cena 40 zł.

W dziennikach Zofii Nałkowskiej czytaliśmy o pewnym gruźliku, który prowadził światoburczy tryb życia, a pod względem ekspresyjności słowa z Żeromskim mógł się równać. Z braku dowodów potraktowaliśmy to jako egzaltację młodej kobiety, do czego Nałkowska skłonności miała nie mało. Nieznane nazwisko Licińskiego zostało nieznanym nazwiskiem. Tymczasem Wydawnictwo Literackie strzeliło z grubej berty. Tyle dynamitu, ile jest w tej książce dziwi, że leżało gdzieś zapomniane. Liciński nie skąpi światu sarkazmu, ironii, ostrych słów. Zżerany gruźlicą pośpiesznie wyrzuca z siebie inwektywy. Zresztą nie tylko inwektywy. Wszystko jest tu pośpieszne: nienawiść, tkliwość, odraza, szacunek, gniew. A przede wszystkim niezwykła eksplozywność słowa. „Myślała zapewne, o ileż wyżej stoi akuszeria od poezji... A ja pomyślałem, o ile jednak nożownictwo wyższe od akuszerii". Młoda Polska, tak. Młoda Polska. Ale taka właśnie, która nie razi manierą, lecz zmusza do powagi rozterką, tragedią, rozpaczą szamoczącego się z życiem człowieka.

★

Krystyna Kolińska: „Stachu"

Wydawnictwo Literackie, 1978, str. 314, cena 40 zł.

Kim był? Jaki był? Te pytania zaczynają tracić treść. Po tylu publikacjach na temat Przybyszewskiego coś o nim wiemy, a że zmieszały się w jego charakterze pierwiastki sprzeczne — o kim tego nie można powiedzieć? Inna rzecz, że rzadko kto doczekał się tak zdecydowanej dezaprobaty ze strony najbliższych. Oto co pisze w jednym liście Mieczysława Foerder: „Jakąż ten człowiek [...] posiadał wrażliwość umysłu i serca". A po kilku latach: „[...] barbarzyńca i potwór. Jego imię i wszystko, co jest z nim związane, przestaje odtąd dla mnie istnieć". Dodajmy, że Foerder była... córką Przybyszewskiego. Co zaś do książki Kolińskiej, która jest beletryzowaną monografją najpierw kapłana „nagiej duszy", później „smutnego szatana", można zarzucić, że z nadmiaru biograficznych fiszek nie wyłania się portret nadto wyrazisty. Poza tym całkiem normalną monografię lepiej by nie zaczynać scena jego pogrzebu. W sumie: jeśli ktoś spod lady nie zdążył kupić „Stacha" (podtytuł: „Jego kobiety i dzieci"), nie uczyni to przesadnej luki w jego przybyszewskologii.

M. Z.

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Produkcja na skansen

Zygmunt Mikulski

DLACZEGO tak mało mówi się o pisarstwie ludowym? Czyżby to był temat wstydliwy, wstydliwa choroba krytyki literackiej? Nie mówię o recenzjach z książek tego rodzaju, gatunku, czy przysiółka literackiego. Te są, skoro są książki. Mówię o problemie.

Otóż problem od dawna powinien przedstawiać się tak: czy istnieje uzasadnienie dla takich terminów jak „poezja ludowa", „literacka twórczość ludowa" itp? Oczywiście w samym jego postawieniu zawarłem odpowiedź. Mianowicie negatywną.

Dlaczego negatywną? Czyżbym żywił jakieś likwidatorskie zamiary w stosunku do pisarstwa poetów minorum gentium? Poeci minorum gentium są wszędzie. Natomiast w sprawie powyższej warto podkreślić dwa fakty. Pierwszy: trzydziestopięcioletni chłopski pisarz nie jest dziś starszy od Polski Ludowej, a więc wyrastał w warunkach kulturowego awansu, który go wreszcie powinien pozbawić „interesującego prymitywizmu" myślenia i wyrażania (a jeśli nie pozbawił, to znaczy, że twórca nie umiał zareagować na przemiany społeczne, a zatem prawo do miana twórcy nie bardzo zachowuje); drugi: wsi „wiejskiej", tej reymontowskiej, chełmońskiej, a nawet piętakowskiej od dawna nie ma, jest wieś wyraźnie zaawansowana w procesie urbanizacji, więc podział na wiejskie i miejskie zaciera się nie tylko na skutek ludnościowej migracji między środowiskami, ale również przez technicyzację wsi, gdzie korzystanie z elektryczności nawet w gospodarstwie domowym należy do zjawisk powszechnych.

Okoliczności te sprawiają, że o ile pisarstwo Raka, Kurasia, Jantka z Bugaja było w swej siermiężności na tle swojego czasu usprawiedliwione, chłopskie pisarstwo dziś takiego usprawiedliwienia nie ma, ponieważ poeta ludowy może być poetą po prostu. Jeśli nie jest, jeśli nie chce być, jeśli woli zastosowanie wobec siebie tych specyficznych kryteriów, które się dawniej z chłopskim pisarstwem łączyły, a do dziś osobliwym rezultatem zabiegów nie uległy zmianie, ma to swoistą i jednoznaczną wymowę: chłopscy poeci sami chcą pozostawać w rezerwacie, który utrzymuje się na prawach rzekomego reliktu.

Rzekomego. Gdyby bowiem do twórców ludowych zaliczali się tylko ludzie koło siedemdziesiątki. Tymczasem zaliczać chce się również pokolenie młodsze, jakby „zmiana warty" i na tym posterunku była potrzebna. Czyżby więc zacofanie odziedziczone po czasach międzywojennych było nie do usunięcia? Ba, godne prolongaty? Dawniej poeta ludowy był ludowy przez to, że nie miał wykształcenia, nie miał dostępu do źródeł publikacji, nie miał styczności z profesjonalnym środowiskiem. Literacka samosiejka. Czyżby i dziś ten mniej niż siedemdziesięcioletni miał utrudniony dostęp do szkoły, do miasta, do ruchu społeczno-kulturalnego? Nie ułatwiajcie życia felietoniście, bo już gotów poskoczyć do wojewódzkiej statystyki po ilość muzykujących na wsi zespołów estradowych z elektrycznymi gitarami, elektrycznymi organami i wzmacniaczami. Z modnymi wygibami i głosami robionymi na zakatarzone. Przecież na wieś wkracza już nawet miejska sub-kultura. To z tych pozycji startuje natchnienie do „samorodnej", „swojskiej", „pszenno-buraczanej" twórczości ludowej?

Co opisywał poeta ludowy? Słonko, skowronka, dym z komina po pracy zapowiadający zasłużoną wieczerzę. Były to obrazki nieautentyczne, ponieważ tak sielsko nie układało się życie na wsi, ale na jakimś kanonie należało się oprzeć, więc w użycie szły odbitki wzorca poetyckiego z kalendarzy, z chłopomańskiej literatury naiwnej i nietrafnej socjologicznie, z drugorzędnej produkcji rymowanej, przesyconej łatwym optymizmem. Przynajmniej jednak realia były autentyczne. Kiedy jednak dziś w twórczości ludowej mamy nie tylko ten sam ton, ale i ten sam sztafaż, widowisko staje się groteskowe. Okienko „autentycznie" chłopskiego wiersza prowadzi w perspektywę nieistniejącą. W rzeczywistość, której nie ma. Wcześnie zauważył to Stanisław Nędza-Kubiniec, który choć chłop, góral, do końca mieszkaniec wsi, stanowczo odżegnał się od przymiotnika „ludowy". Powie kto, że wyraziła się w tym zdrada własnego środowiska, albo zarozumiałość widzącego siebie wyżej — słusznie zresztą — awansującego twórcy. Możliwe, że coś takiego było. Ale również poczucie nieadekwatności epitetu, chęć uniknięcia terminologicznego fałszu. Rzeczywistość społeczna i kulturowa podrzuciła tu już tyle możliwości, że powrót na pozycje niegdysiejsze może się łączyć tylko z unikiem wobec wymagań rozwoju.

Galwanizowanie anachronizmu widzę również w profesjonalnej współczesnej literaturze tzw. chłopskiego nurtu. Dawni autentyści jeśli nawet nie zjednoczyli się pod wpływem potrzeby serca, lecz pozostali jako „grupa nacisku", mieli rację. Zaznaczyli obecność tematu, obecność określonego grona piszących. Natomiast jeśli dzisiaj Julian Kawalec do przesytu rewelluje mi naciąganą psychologię chłopa przeżywającego kompleks pochodzenia w środowisku miejskim, chłopa w dodatku wyniesionego awansem do pozycji rzadko dostępnej mieszkańcowi miasta, słyszę w tym — jak powiadał Przyboś — szelest papieru. Taki bohater może nawet popełnić samobójstwo, nic mnie to nie wzrusza. Co najwyżej mogę stwierdzić, że rzuciło się ze skały parę ton papieru. Karygodne zaniedbanie w dobie papierowych trudności.

Nie wiem dlaczego ten temat w krytyce literackiej wciąż się premiuje. Co ten i ów (nazwiska na żądanie) w nim „wyeksplorował"? Niczego nie wyeksplorował, chce tylko fascynować egzotyką, może oryginalnością własnego retro, może „przezwyciężeniem" konfliktów społeczności miejskiej. Bo sama wieś nie istnieje. Jak środowisko naturalne.

Owszem, pisarz-chłop mógł kiedyś mieć poczucie krzywdy. Ale nie mógł go mieć pisarz piszący o wsi. Dlatego utworzenie w 1945 roku Oddziału Wiejskiego Związku Literatów Polskich było imprezą spóźnioną i — że tak powiem — „przypuszczalną", tzn. obliczoną na wypadek, gdyby zjawisko pisarstwa o wsi przybrało rozmiary domagające się form organizacyjnych. Tak się nie stało i stać nie mogło. Przede wszystkim z tego powodu, że getto wiejskie znikło, że wieś wyszła z sytuacji usprawiedliwiającej działania charytatywne przez jej zacofanie i niedorozwój. Po latach z powrotem temat wiejski wzeszedł. Ale to już inny powód: eksperyment — również i na tym polu. Szkoda, że swoją książkę „Wokół kultury i literatury ludowej 1939—1948" Jerzy Jastrzębski zamknął w wymienionym obszarze lat. Mielibyśmy socjologiczną analizę zjawisk bardziej nam współczesnych.

Kto doczytał do tego miejsca niniejszy felieton z pewnością odebrał wrażenie, że jego autor jest zdecydowanym chłopo-poeto-żercą. Że chciałby wytrącić może jeszcze pióro, a nie długopis z rąk ludziom, którzy kiedyś nie mieli szans wypowiedzi, a w Polsce Ludowej ją mają i pragną z tego skorzystać. Daleki jestem od takiej intencji i takiej możności. Tylko proponuję na ten teren wprowadzić pewne kryteria. O ile bowiem ochrona zabytków jest czymś normalnym, produkcja zabytków ma coś z nieporozumienia, a nawet hochsztaplerki.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 70 LATY

● „BYSTRZYCA" — pod tym mianem istnieje jak wiadomo, w Lublinie za Rogatką Ruską nowa fabryka kłódek, zamków z sekretami i wyrobów ze stali. Właściciel i kierownik fabryki pan Piasecki, doświadczony w swym zawodzie specjalista, który prowadzi fabrykę do spółki z panami Kościńskim i Sitkowiczem, udzielił nam szczegółowych informacji i pokazywał zamki, których otwarcie dla nieposiadających sekretu, stanowczo jest niemożliwe. Widzieliśmy również kasetki do przechowywania pieniędzy, szafy żelazne, kraty, których wykonanie jest ostatnim wyrazem techniki.

*

● DOTYCHCZAS przy odbiorze pieniędzy i innej korespondencji z poczty wymagane są zaświadczenia policji o awizacjach tożsamości osoby zgłaszającej się po odbiór. Formalności te są nader uciążliwe, zarówno dla publiczności jak i dla policji. W celu ich usunięcia główny zarząd poczt i telegrafów polecił tutejszym urzędom pocztowo-telegraficznym, aby rzeczone poświadczenia policji zastąpić przez okazywanie paszportów lub innych dowodów. 1) tożsamość osoby odbierającego, lub jego podpis na awizacji, upoważniający drugą osobę do odbioru, należy uważać za stwierdzone, jeśli odbierający przedstawi paszport lub dowód podobny, 2) obowiązujące obecnie przepisy wydawania korespondencji tylko na zasadzie paszportów zameldowanych w policji, kasuje się, 3) przedstawienie paszportu nie powinno być wymagane, jeśli adresat lub jego podpis znane są urzędowi pocztowemu. Nadto główny zarząd zaznacza, że ponieważ trudno jest przewidzieć wszystkie wypadki poszczególne, biura pocztowe powinny kierować się zasadą względności i nie krępować publiczności zwykłymi formalnościami.

„GAZETA LUBELSKA"

PRZED 50 LATY

● LICZBA zarejestrowanych abonamentów radiofonicznych w Lublinie, choć powoli ale stale wzrasta. Do niedawna było ich zaledwie niewiele więcej niż 800, obecnie zaś liczba abonentów w naszym mieście sięgała na dzień 1 kwietnia już liczby 873. Wybitnie zaznaczył się wzrost abonentów począwszy od 1 stycznia, w dniu tym bowiem liczba ich wynosiła 825, na dzień 1 lutego liczono ich już 833, a na dzień 1 marca liczba wzrosła do 857.

W ciągu miesiąca marca przybyło nowych abonentów 33, ubyło zaś 17. Ciekawe są nieraz powody, zmuszające abonentów do zaprzestania użytkowania radiostacji. Jeden np. z tej kategorii abonentów zaznacza w piśmie do urzędu poczt.-telegraficznego, że zmuszony jest zrzec się użytkowania radiostacji, ponieważ będąc urzędnikiem państwowym nie jest w możności kupić nowej baterii anodowej, a bez niej, jak wiadomo, aparat funkcjonować nie może.

„GŁOS LUBELSKI"

Wybrała Anna Orzechowska

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

WŚRÓD wydarzeń muzycznych ostatniego miesiąca na plan pierwszy wysuwają się dwa koncerty Chóru Akademickiego UMCS. W programie znalazły się zarówno utwory a cappella (m. in. Gaude Mater Polonia, kompozycje Scarlattiego, Janequina, Marenzio, Maćkowiąka i Koszewskiego), jak i dwa dzieła większe: kantata *Ich will den Kreuzstab gerne tragen* BMV 56 Jana Sebastiana Bacha (dyrygowała Jadwiga Czerwińska) oraz *Carmina burana* Carla Orffa (pod batutą Adama Natanka).

Kantata nr 56 lipskiego mistrza stawia solistcie wysokie wymagania w zakresie dramatycznej ekspresji: musi on przeżyć i przekazać ewolucję uczuciową, postępującą od pełnego rezygnacji oczekiwania na śmierć do radosnej za nią tęsknoty. Trzeba powiedzieć, że Jan Wojciech Śmietana zrealizował partię basową ze skupieniem i wyczuciem stylu. Oprócz wysokiego technicznego kunsztu śpiewaczego wykonanie jego zalecało się umiejętnością naturalnej deklamacji, niezbędnej w muzyce niemieckiej. Orkiestra prowadzona przez Jadwigę Czerwińską ładnie akcentowała i frazowała. Motyw falowania, częsty u Bacha, tu prowadzony przez wiolonczele w arioso *Mein Wandel auf der Welt ist einer Schiffahrt gleich* czy pełen niepohamowanej radości temat końcowej arii *Endlich, endlich wird mein Joch* utkwiły mi w pamięci jako fragmenty szczególnie piękne i zatarły niekorzystne wrażenie wywołane przez wykonawcę partii oboju.

Carmina burana Carla Orffa to również rodzaj kantaty opartej na tekstach z XIII-wiecznego rękopisu, odnalezionego w bawarskim klasztorze Benediktbeuern. Są to utwory o tematyce świeckiej, spisane w łacinie średniowiecznej i języku średnio-górno-niemieckim. Muzycznymi wzorami dla Orffa była opera starowłoska, tkwiąca korzeniami w średniowieczu, oraz sztuka w takiej postaci, jaką odnaleźć możemy w szesnastowiecznych tabulaturach lutniowych; one to posłużyły za materiał do zabiegów stylizacyjnych. Dzieło charakteryzuje prostota faktury, wyrazistość konturów rytmicznych, zróżnicowanie nastroju i języka muzycznego.

Spośród solistów niewątpliwie najbardziej przekonywająco śpiewał Marian Kondella (baryton), zaś Delfina Ambroziak była w słabszej dyspozycji niż przed dwoma laty, kiedy to słyszeliśmy *Carmina burana* po raz pierwszy. Chór zaś, podobnie jak w utworach a cappella, zaprezentował kulturę wokalną i wysokie umiejętności: na ogół nienaganną intonację, wyrównane brzmienie, subtelnie wycyzelowaną barwę, umiejętność kreowania nastroju i rzadką radość śpiewania.

Chór akademicki UMCS obchodził w początkach maja dziesięciolecie swej działalności, znaczonej wieloma świetnymi kreacjami muzyki oratoryjno-kantatowej oraz udziałem w licznych festiwalach, przeglądach i koncertach krajowych i zagranicznych. Od lutego 1973 r. pierwszym dyrygentem i kierownikiem chóru jest p. Jadwiga Czerwińska, której entuzjazm, muzykalność i niepodważalne kompetencje dyrygenckie znalazły niedawno ukoronowanie w pomyślnym zakończeniu jej przewodu habilitacyjnego. Notatnik muzyczny dołącza się zatem, choć z opóźnieniem, do życzeń i gratulacji.

Na program koncertu prowadzonego gościnnie przez szefa częstochowskich filharmoników — Zygmunta Hasse, złożyły się: *Symfonia B-dur nr 102* Józefa Haydna, *Koncert fortepianowy a-moll op. 54* Roberta Schumanna oraz *Krzesany* Wojciecha Kilara. Dziesiątą symfonię z cyklu „londyńskich" poprowadził p. Hasse w tempie tak zawrotnym, jakby myślami był już przy filiżance aromatycznej kawy, oczekującej go podczas przerwy. Skutecznie zaprzepaścił więc szansę ukazania na przykład Beethovenowskich rysów *Allegro vivace* czy lekkości i humoru finałowego *Presto*. W tej sytuacji koncert uratowała jedynie Ewa Bukojemska. Dysponuje ona donośnym i pełnym tonem, panuje nad poszczególnymi płaszczyznami dźwiękowymi, umie rozplanować dynamicznie składniki akordów i utrzymywać dobre tempa zasadnicze. W arcyromantycznym świecie Schumannowskiego koncertu na plan pierwszy wysunęła Bukojemska aspekt wyrazowy. Było to wykonanie pełne głębokiej i szczerej uczciwości, jakkolwiek w finałowym *Allegro vivace* dostrzegało się pewną monotonię (której chyba tylko Dinu Lipatti potrafił uniknąć dzięki „roztańczeniu" myśli pobocznych — w nagraniu z „Philharmonią" i Karajanem).

Muszę przyznać, że chłodne przyjęcie *Koncertu a-moll* przez publiczność było dla mnie niespodzianką, szczególnie w zestawieniu z entuzjazmem dla *Krzesanego* Wojciecha Kilara. Widziałbym w tym dowód nie tyle umiłowania muzyki współczesnej, ile raczej zmęczenia słuchaczy, ono bowiem daje na ogół znać o sobie w zniżeniu gustu. Zamiast komentarza przytoczę Państwu fragment omówienia pióra J. Jaroszewicza, który dostrzega w *Krzesanym* „nader jaskrawe środki wyrazowe", formułując pod adresem autora uwagę następującą: „świadomie upraszcza zarówno język muzyczny jak i formę, ewokuje obraz ludowości czynnikami zdecydowanie zewnętrznymi, efektownymi, lecz w gruncie rzeczy mało interesującymi". Obrońcy dawnej, dziewiętnastowiecznej muzyki, mający za złe filharmoniom ich koncepcje repertuarowe, w kompozycji Kilara znajdują argument najlepszy, skoro słuchanie *Krzesanego* [illegible] bolesność i „przytupywanie", [illegible] góralszczyznę. Publiczność [illegible], mogąc dotrzeć do wszystkiego, co w historii muzyki najwybitniejsze (choćby dzięki radiu), bardziej starych mistrzów [illegible] niż młodych współczesnych, Schumanna przedkłada nad Kilara i woli katarynkową *Traviatę* od współczesnych oper [illegible]. Problem leży więc nie w upodobaniach dyrektorów placówek muzycznych, nie w gustach słuchaczy, ale w samej muzyce [illegible]wocesnej, zwłaszcza, gdy hermetyczność jej estetyki okazuje się najpilniejszym zadaniem kompozytora. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla wielu XIX-wieczny profil koncertów symfonicznych jest niesympatyczny — a jeśli próbuję go bronić, narażam się na podejrzenia, że po powrocie z Filharmonii słucham np. *Piątej* Beethovena. Cóż, lubię stare, solidne firmy, podobnie jak chyba większość z Państwa...

Ale do rzeczy. W kwietniu usłyszeliśmy jeszcze jedną młodą pianistkę, w dodatku lubliniankę — Elżbietę Karaś-Krasztel. W programie koncertu znalazła się muzyka rosyjska drugiej połowy XIX wieku: uwertura do opery *Rusłan i Ludmiła* Michała Glinki, suita z baletu *Dziadek do orzechów* oraz *Koncert fortepianowy b-moll* Piotra Czajkowskiego. Ryszard Komorowski poprowadził dwa pierwsze utwory w kierunku wyeksponowania ich uczuciowości, kolorytu i efektownej, barwnej faktury. Był to także sukces orkiestry.

Pewien niedosyt pozostawiła natomiast solistka *Koncertu b-moll*, Elżbieta Karaś-Krasztel.

KRONIKA KULTURALNA

● Sądząc po frekwencji na rozlicznych i różnorodnych imprezach tegorocznych Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, zorganizowanych w miastach i wsiach makroregionu, ta nasza tradycyjna „majówka" o wyższych aspiracjach nie starzeje się. Ludzie nadal, a może coraz bardziej, cenią sobie bezpośredni kontakt z pisarzami, dziennikarzami, twórcami ludowymi, chętniej niż na co dzień kupują książki na kiermaszach, uczestniczą w występach zespołów folklorystycznych.

● Sesja WRN w Lublinie podjęła uchwałę o utworzeniu Kazimierskiego Parku Krajobrazowego. Obejmując obszar 13.979 ha, będzie on otoczony strefą ochronną o powierzchni 25 tys. ha. W obrębie Parku znajdą się tereny położone między Wilkowem, Kazimierzem i Puławami, charakteryzujące się wyjątkowymi walorami przyrodniczymi, pejzażowymi i kulturowymi. W Parku nie będzie wolno lokalizować dużych środków gospodarki hodowlanej.

● W poprzedniej „Kronice" informowaliśmy o wyjeździe zespołu dziecięcego „Scholares Minores pro Musica Antiqua" ze Szkoły Podstawowej w Poniatowej na międzynarodowy festiwal muzyki dawnej w Neerpelt (Belgia). Obecnie — z przyjemnością i satysfakcją — donosimy, że młodzi muzycy i śpiewacy polscy zdobyli na tej imprezie I miejsce. A w festiwalu uczestniczyło aż 36 zespołów z Europy i USA!

● Z okazji 350 rocznicy śmierci wybitnego poety renesansowego Szymonowica w Zamościu odbyła się (9 maja) sesja naukowa, podczas której wygłoszono kilka interesujących referatów. Autor jednego z nich, dr Adam Andrzej Witusik z UMCS, przedstawi przebieg sesji w kolejnym numerze „Kameny".

● Rada d/s Kultury Stowarzyszenia „Pax" i oddział miejski „Pax" w Lublinie zorganizowały sympozjum na temat ochrony zabytków sztuki sakralnej (12—13 maja). Wygłoszono kilka referatów, autoryzowanych przez specjalistów z Lublina i Warszawy, obejrzano zbiory sztuki KUL, dyskutowano. Do niektórych problemów postawionych w trakcie sympozjum powrócimy na łamach pisma.

● W połowie maja w Lublinie i Chełmie występowała wybitna pieśniarka radziecka, Żanna Biczewska, znakomicie interpretująca m. in. ludowe pieśni rosyjskie.

● Beata Artemska w wywiadzie dla „Sztandaru Ludu" z 5—6 maja: — Niesłusznie... robią niektórzy dyrektorzy, którzy dotychczasowy szyld „operetka" przemieniają na teatr muzyczny. To bardzo peszy widza, który nie wie, co go spotka w tym teatrze. Dawniej widz wiedział że jeśli szedł do operetki, to się nastawiał na tego rodzaju widowisko. Na rozrywkę, piękne melodie i straszliwie banalne libretta. Myślę, że te ostatnie powinny podlegać pewnemu rytuszowi współczesnego języka. Natomiast ich naiwna treść, ich banalna fabuła jest tego rodzaju rozrywką, na którą ludzie chętnie chodzą.

● 6 maja w nałęczowskim Pałacu Małachowskich urządzono wystawę projektów ogólnopolskiego pleneru rzeźbiarskiego, którego efektem mają być liczne popiersia ludzi zasłużonych czy związanych niegdyś z naszym kurortem. Cztery projekty (m. in. Bogdana Markowskiego z Lublina) wydały nam się obiecujące.

● Ciągle aktywna grupa plastyczna „Absolwent" wystąpiła w puławskim Domu Gotyckim z kolejną wystawą malarstwa i grafiki, która poświadcza twórczą ruchliwość autorów — nie przypisanych żadnej organizacji profesjonalnej, lecz mimo tego w sposób bardzo odpowiedzialny poruszających się po terenie sztuki.

● Zdzisław Walczak snycerz i malarz z Zakopanego, pokazał swoje obrazy na szkle w Muzeum Okręgowym w Lublinie.

● Zenon Kruszewski, absolwent Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, wystąpił z wystawą indywidualną malarstwa w Klubie MPiK przy ul. Leonarda w Lublinie. Kruszewski, jeden z najbardziej utalentowanych studentów IWA, i obecnie, po ukończeniu uczelni, nie traci inwencji twórczej, co nie jest przypadkiem zbyt częstym wśród naszej młodzieży plastycznej, która po uzyskaniu dyplomu chętniej uprawia poletko życia, niż sztuki.

● „Polonia w Australii i Nowej Zelandii" Włodzimierza Helmana to kolejne wydawnictwo Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS, które ukazało się w maju w ramach pożytecznej serii „Z dziejów Polonii".

● W Paryżu zmarł Y. Razgour, malarz znany dobrze wielu lublinianom i kazimierzanom, serdecznie przez nich wspominany, który opuścił Lublin jeszcze przed wojną, aby na stałe zamieszkać w Paryżu, gdzie zyskał dostrzegalną pozycję w środowisku artystycznym. W tym roku zamierzał urządzić w Polsce wystawę malarstwa.

KALEJDOSKOP

Lubelscy przemytnicy

W „itd" (nr. 10) Maciej Rybiński pisze, że 10 marca na lotnisku w indyjskim Madrasie zatrzymano 11-osobową grupę turystów, podróżujących z lubelskim oddziałem biura podróży „Almatur" na trasie Warszawa-Paryż-Moskwa-Delhi-Bangkok-Singapur-Madras-Bombaj-Warszawa. Grupa oświadczyła celnikom, że nie ma niczego do oclenia, Hindusi przejrzeli bagaże i odkryli: 1982 kasety magnetofonowe, 396 zegarków elektronicznych, 18 kalkulatorów, 10 aparatów radiowych, 36 baterii do zegarków, 36 kompletów kosmetycznych. Na osobę wypadło wprawdzie aż 165 kaset, ale tylko 33 zegarki elektroniczne, mimo to celnicy uznali bagaż za kontrabandę.

Rybiński usprawiedliwia studentów: w grupie była tylko jedna studentka, i to studiująca zaocznie, uposażona wyżej przeciętnej krajowej. Ponadto: właściciel warsztatu rzemieślniczego, właściciel gospodarstwa rolnego, pracownicy biura projektów górnictwa, gospodyni domowa niepracująca, pracownik z zakładu techniki obliczeniowej (kalkulatory!) oraz doktorant jednej z lubelskich uczelni. Większość spośród nich dysponowała kontami dewizowymi.

Bylibyśmy radzi, gdyby lubelski oddział biura podróży „Almatur" wysyłając wyjaśnienie do „itd" jedną z kopii pisma włożył do koperty i nadesłał pod adresem „Kameny". Chcielibyśmy, chociaż do prywatnej wiadomości, znać nazwiska szanownych przemytników. A może Maciej Rybiński wyśle informację z „itd"?

* * *

Łódzkie „Odgłosy" (nr. 19) opisują historię Tadeusza K., urodzonego w 1935 r., pochodzenia robotniczego, o wykształceniu siedmioklasowym, żonatego, ojca dwojga dzieci w wieku 12 i 5 lat, właściciela fiata 126 p, nie karanego, zamieszkałego w Lublinie, pracownika Lubelskich Zakładów Przemysłu... (i tutaj trzy kropki). Facet dość często przekraczał granice (różne). W grudniu 1976 r. wyjechał na ostatnią wycieczkę do Wiednia. W drodze powrotnej wycieczkowe towarzystwo popiło nieco mocniejszych trunków. Skutkiem czego Tadeusz K. przekraczał granicę na mocno niepewnych nogach. Wysiadając z autokaru stracił nagle równowagę, łamiąc nogę i rozbijając głowę. Przy okazji stracił przytomność. Zabrano go do szpitala, a bagaż poszedł do depozytu. Kiedy, jak nakazują depozytowe przepisy, celnicy zaczęli sporządzać dokładny inwentarz, oczy im stanęły w słup. A gdy jeszcze wpadł im w ręce Tadeuszowy notatnik z całą skrupulatnie prowadzoną od dłuższego czasu buchalterią, zdumienie celników nie miało granic. Przemytnik, jak wynikało z jego notatnika, zarobił w przeciągu kilku lat cztery miliony(!) złotych.

Jeszcze jedna przestroga: alkohol to twój wróg! A swoją drogą, które Lubelskie Zakłady Przemysłu... zechcą przyznać się do Tadeusza K.?

Gdzieś dzwonią...

„Życie Warszawy" (nr. 106 P — nie mylić z marką fiata) opisuje rajd dziennikarski. Znajdujemy w nim uwagi na temat założonego w 1959 roku Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej: „Zaczął się ruch, przyszli nowi ludzie... Razem z Okoniem zaczynali Stachira, Janczykowski, Skibiński, Czarnota, Twardzik..." itd. Nowi ludzie? Janczykowski działał w Chełmie jeszcze wtedy, kiedy Stachiry na świecie nie było! Ale Chełmskie penetrowało dziś aż trzech dziennikarzy „Życia". Mogło im się coś poplątać.

UFOmeryka

„UFOmeryka" pióra Eufemiusza Trójniaka (nr. 5 „Barw"):

„Ufowcy w pobliżu Kraśnika
zbadali ciało rolnika.
Gdy rozebrali go w kącie,
miast czułek ujrzeli prącie.
I co z tego właściwie wynika?"

Trójniak zna się na rzeczy! Dziwi tylko, że w tym samym numerze redaktor „Dyliżansu Literackiego" gani także fraszki Leszka M. z Błonia:

Ból krzyża
sprawność obniża.
Idylla się skończyła
pozostała kiła.

„Myślę — pisze redaktor rubryki — że po uważnym przeczytaniu swoich utworów w Dyliżansie dojdzie Pan do tego samego wniosku, co my, że starania o upowszechnianie ich jest na razie przedwczesne". Redaktor z góry przyznaje, że jego „Dyliżansu" nikt nie czyta!

To już rekord!

Na łamach „Naszych Problemów", pisma ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch", Zbigniew Bożek dzieli się swymi doświadczeniami dziennikarza — stażysty. Był trzy miesiące w jednym z sąsiednich krajów. Do macierzystej redakcji wysłał 38 korespondencji, ponadto współpracował ze „Sportem", przygotował kilka wywiadów, wiele korespondencji przekazał dla biuletynów krajowych agencji „Interpress", pisał również w prasie miejscowej.

I kto tu śmie mówić, że młodzi dziennikarze to śmierdzące lenie!

Doktor Murek

Po serialu z redaktorem Majem mamy serial z doktorem Murkiem. Koleżanki redakcyjne twierdzą, że Murek jest po pierwsze przystojniejszy, po drugie — subtelniejszy. Mimo że rzecz toczy się w dwudziestoleciu międzywojennym, wydaje nam się postać Murka być bardziej realistyczna niż postać Maja, który ziała współcześnie. Rzecz zrozumiała, że gdyby doktor Murek żył dzisiaj, praca by jego szukała, a nie on pracy. A z funkcji naczelnika w Urzędzie Miejskim na pewno by zrezygnował. Hierarchie zawodowe uległy poważnym zmianom!

Wiedeńska taryfa

W majowym n-rze „Prometeja" Edward Bolec donosi z Wiednia: „Nie odpoczywają też tabuny prostytutek na Praterze, obsługujące mężczyzn podjeżdżających do nich samochodami. Klientów jest tak dużo, że każdemu z nich mogą poświęcić co najwyżej kilka minut. [...] Wzdłuż Gurtelstrassen,(?) okrążających(?) dziewiętnastowieczny Wiedeń, kręcą się jeszcze „dziewczynki". Te są już o wiele droższe od „panienek" w kozakach po uda z Prateru. Oferują siebie za 400 S plus 125 za łóżko w hotelach, przed którymi wabią „pacjentów". Chętnych niewielu, a i ci nie kwapią się, czekają — aż zdesperowane z powodu bezrobocia — obniżą stawkę".

Grunt to fachowość piszącego. „Prometej" ma wiadomości z pierwszej... ręki!

Dla młodych Wybrzeża!

„Jantar", tygodnik młodych Wybrzeża, reklamuje w n-rze 16 powieść. Czytamy: „Wyjął z ust nie dopalone cygaro, przyglądał mu się z uwagą, potem upuścił na ziemię. Na ten znak nagle, jak gdyby jakiś sygnał zapalił mu się w mózgu, młody policjant rąbnął Morrowa prawym prostym w wątrobę, ze wszystkich sił. Od samego początku tego dialogu Iwan wiedział, że właśnie ten glina zacznie mu wsuwać, że właściwie po to tylko tu się znalazł, że na to tylko czeka i że zrobi to z całą przyjemnością. Można to było wyczytać w jego spojrzeniu. Dlatego miał się na baczności, mimo że wyglądał na nieprzygotowanego. Uchylił się od ciosu, zrobił krok w bok i gwałtownym rozpędem rąbnął w karoserię samochodu, który stał w boksie" — oto fragment sensacyjnej powieści Adama Hall'a Moore pt. „Polowanie na słonia", którą już w następnym numerze zaczniemy drukować. Pasjonująca lektura!"

Rzeczywiście pasjonująca! Trzeba ją czytelnikom wsunąć, tę głupotę. Niech się uczą na dobrych wzorach!

Do Kalejdoskopu

Z artykułu „Jeszcze jedno pięknie" zamieszczonego w „Sztandarze Ludu" z dnia 6, 7, 8.IV.1979 r. dowiedzieliśmy się, że Chór UMCS wysłuchał fragmentu IX symfonii Beethovena na cmentarzu wiedeńskim, nad grobem Beethovena, w pobliżu grobów Mozarta, Haydna i Schuberta. Zwłoki Mozarta rzeczywiście spoczywają na tym cmentarzu, w zbiorowej mogile dla ubogich, ale dokładnie gdzie, tego nikt nie wie, jeśli więc chór UMCS to odkrył, niechby się podzielił wiadomością z opinią muzyczną całego świata. Chyba, że „w pobliżu" mamy rozumieć na podobieństwo góralskiego „z hakiem". Wtedy zgoda.

ekran i widz

Smutne losy Marilyn

W OSTATNICH tygodniach francuski „Paris Match" publikował obszerne fragmenty mającej się wkrótce ukazać książki Leny Pepitone — „Marilyn secrète", co w wolnym przekładzie na język polski mogłoby brzmieć: „Marylin, jakiej nie znamy". Skądinąd, najbardziej właściwy dla tej książki byłby tytuł w rodzaju: „Marilyn — widziana od kuchni"... Lena Pepitone jest ex-pokojówką i garderobianą wielkiej gwiazdy filmowej, a — jak twierdzi — również jej duchową powiernicą. Pracowała u Marilyn Monroe w ciągu ostatnich sześciu lat jej życia. Nie tylko miała możność obserwowania „najbardziej pożądanej kobiety świata" w sytuacjach nader codziennych, ale jeszcze opowiada o słynnej aktorce... w sposób, który określamy mianem kuchennego plotkarstwa. Często jej zwierzenia są wręcz niesmaczne, obliczone na najniższe gusta czytelnicze, na uzyskanie jak największej sensacyjności.

Z drugiej przecież strony, między wierszami „rewelacji" zamieszczonych na stronach „Marilyn secrète", można wyczytać autentycznie tragiczną historię ostatnich sześciu lat życia Marilyn Monroe. Tych lat, kiedy wszak stała ona u szczytu sławy. I to już nie tylko jako oszałamiająca, platynowa sex-bomba ze „Słomianego wdowca", z „Pół żartem, pół serio" czy też filmowej rewii Cukora „Pokochajmy się" w duecie z Ives Montandem, ale również — doskonała aktorka, jedna z bohaterek filmu Johna Hustona „Skłóceni z życiem" nakręconego w oparciu o scenariusz jej męża, słynnego pisarza Arthura Millera. Grała tam u boku s a m e g o Clarka Gable, partnerował jej Montgomery Clift.

Kiedy po raz ostatni, tym razem ze skutkiem, targnęła się na życie, miała lat trzydzieści sześć. Jej sława, jako „boskiej" blondynki o oszałamiającej figurze (która miała się kojarzyć widowni z pojęciem „kobiety marzeń i snów") była w pełni. Podpisała właśnie kolejny kontrakt, opiewający na sumę jedenastu milionów dolarów, dobijały się o jej występy teatry, słynne nocne lokale, teatry rewiowe. Śpiewając na specjalnym przyjęciu wydanym przez prezydenta Kennedy'ego, które za pośrednictwem telewizji, oglądały całe Stany Zjednoczone, zdystansowała nawet samą Lizę Taylor. Była najsłynniejszą gwiazdą filmową Ameryki. I dowiodła także, w „Skłóconych z życiem", że nie tylko jej ciało, ale i jej aktorstwo może zachwycać na ekranie.

Była Marilyn Monroe typowym dzieckiem amerykańskiej popkultury; poprzez nią została wykreowana i uformowana, i sama nią dokładnie nasiąkła. Była „znajomą z okładek" wielkich ilustrowanych magazynów — początkowo jako pin-up girl, potem już jako filmowe wcielenie marzeń milionów, o „idealnej" kobiecie.

Marilyn sprawdzała się w świecie iluzji. Tym łatwiej że przecież do filmu trafiła jako zwyczajna ,dość prowincjonalna dziewczyna, jedna z milionów czytelniczek przeciętnych magazynów kobiecych i jedna z milionów wielbicielek filmowej hollywoodzkiej „masówki".

Wcześnie wyszła za mąż za młodego chłopaka, przyjaciela jej przybranej rodziny, Jima Doughera. Miała przed sobą perspektywę spędzenia życia jako kura domowa. Ale Jim został powołany do wojska. I właśnie wtedy, w 1942 r — przed jego zgłoszeniem się do armii — wyjechała na wakacje nad ocean. Tam, w miejscowości letniskowej, paradująca w skromnym kostiumie po plażach Marilyn została dostrzeżona przez mężczyzn.

Jeden z późniejszych wielbicieli, zaproponował jej próbę dostania się na ekran. Zaczęła — od 75 dolarów tygodniowo. Mówiła później z goryczą: „Nie wymagano ode mnie żebym wypowiadała jakiekolwiek słowa na ekranie. Miałam platynowe włosy i ciało, które podobało się mężczyznom: oto na czym się zasadzał mój aktorski sukces!"

Tak czy inaczej, w końcu stała się Marilyn największą gwiazdą filmową świata lat pięćdziesiątych. Zawdzięczała to kolosalnej reklamie ale również własnej — bez wątpienia nieprzeciętnej — osobowości. Nawet jeśli by to była osobowość mieszcząca się w ramach zakreślonych przez świat popularnych, kolorowych tygodników.

W tym świecie mieściło się także doskonale jej drugie małżeństwo — z bohaterem amerykańskiego base-ballu, słynnym „Zabójcą" — Joe Di Maggio. W tym świecie mieścił się również jej specyficzny narcyzm: m.in. owo — (wynikłe może najpierw ze względów reklamy a później już z przyzwyczajenia i... z własnej potrzeby) bezustanne eksponowanie własnej figury w porozwieszanych w całym mieszkaniu ogromnych lustrach, paradowanie po domu nago, bez krępowania się służbą, itp.

Kto wie, czy największym nieszczęściem Marilyn nie było jej trzecie, i ostatnie, małżeństwo zawarte w 1956 r. z Arthurem Millerem... Intelektualista, wybitny dramaturg, twórca „Śmierci komiwojażera" i „Czarownic z Salem" i... platynowe wcielenie ekranowej zmysłowości, z którym nie mógł wytrzymać base-ballista Di Maggio!

Lena Pepitone rozpoczęła pracę u Marilyn Monroe w rok po zawarciu tego małżeństwa. Już na pierwszy rzut oka wydało się jej ono nader dziwne: osobne sypialnie, pan domu zamykający się na głucho, na całe dnie, w swoim gabinecie jak w warowni, i Marilyn strzępek nerwów, bezustannie tonąca we łzach, zakompleksiona, histeryczna, nieporządna, robiąca z nocy dzień, a z dnia noc, nadużywająca alkoholu, okresami — wręcz żarłoczna.

Do wszystkich problemów życiowych i kompleksów Marilyn dochodził jeszcze problem niemożności urodzenia dziecka, więc przynajmniej w pojęciu sfery z jakiej się wywodziła — problem nieprzydatności życiowej. Ona — symbol sexu i kobiecości — nie potrafiła dać mężowi potomka! Potem, po rozwodzie z Millerem, był to również kompleks nieposiadania unormowanego życia uczuciowego i rodzinnego. Ta, która tak często, bez większych oporów „szła na rękę" mężczyznom, została w pewnej chwili opanowana obsesją wyjścia za mąż! Wcześniejszy jeszcze romans z Yvesem Montandem zakończył się jej fiaskiem; nic nie wyszło z nadziei na sfinalizowanie małżeństwa z Frankiem Sinatrą. Nie wyrażał ochoty na powtórne małżeństwo — zawsze rycerski wobec niej, Di Maggio. Wreszcie pojawił się w jej życiu Meksykanin, 35-letni José Bolanos, dawny matador. Mieli się pobrać. Wyglądało, że Marilyn zaczyna dochodzić do siebie... Nagle na świat spadła wiadomość o jej śmierci, na skutek zażycia zbyt wielkiej ilości środków uspokajających.

W rok po śmierci Marilyn, Arthur Miller zaprezentował jedną ze swoich najwybitniejszych sztuk: „Po upadku". Mówi ona o samobójstwie słynnej filmowej aktorki, wynikłym z kryzysu psychicznego; i jest między innymi oskarżeniem rzuconym pod adresem amerykańskiego przemysłu rozrywkowego.

Oczywiście nasuwa się od razu dwuznaczne porównanie ze smutnym losem Marilyn. Tej mimo wszystko, ciekawej osobowości i utalentowanej aktorki, która nie potrafiła sobie znaleźć miejsca na ziemi.

Jakaż różnica między nią, a Jane Fonda, o której pisałem w ostatnim felietonie! Nie wiem, czy Jane Fonda dosięgnie kiedykolwiek sławy Marilyn. Posiada jednak wielki atut życiowy. Nie dla filmu, dla samej siebie: Marilyn Monroe dawała się unosić fali, ona — płynie pod prąd.

M. D.

A. J. G. Lublin. Tych parę tekstów, które otrzymaliśmy, świadczy o potrzebie świadomego stosunku do rzeczywistości, ale jest to pisane zanadto mimochodem, po wagabundzku, można powiedzieć, że nawet z pewną nonszalancją. Co oczywiście nie jest wadą, czego dowodzi przykład choćby Villona. Tylko tutaj ta beztroska przedostała się do samej faktury słowa, skutkiem czego stały się one za mało zborne: Pan chce „za łatwo" pisać. Tego niestety nie da się osiągnąć nawet przy największym talencie.

J. N. P. Lublin. Działa Pan przeciw sobie. W ten sposób, że w materię wiersza, który i tak lirycznych treści zbyt wiele nie ma, wmontowuje Pan określenia sztuczne, mające upoetyzować tekst. Uważa Pan, że „niosąc bukiet" jest za mało poetyckie, dlatego mamy „holując bukiet". A co znaczy „złożysz w darze perel garść na falujący trawnik uczuć"? To, że uczucia zostaną opłacone kosztownościami? Nie przestrzega Pan konsekwencji obrazów, gromadzi Pan „metafory" w przeświadczeniu, że samo „ciemno" stanie się „laurowo".

D. K. Końskowola. Za bardzo Pan się przejął konwencją antypowieści. Do tego stopnia, że nie wiem, gdzie rzecz się dzieje, na wsi czy w mieście co było wczoraj, a co pięć lat temu, kto jest bohaterem: mężczyzna czy kobieta. Czy Pan sądzi, że ten sposób pisania coś wyraża? Życie stwarza wystarczającą ilość łamigłówek, nie twórzmy ich w sposób sztuczny. Zadaniem literatury, jak zresztą twórczości, jak filozofii jest wprowadzać ład w chaos rzeczy zastanych. Nie sztuka biernie — często bezmyślnie — percypować. Sztuka zauważyć pewne związki i prawidłowości. Są takie na świecie.

Z. S. Lublin. Może to nawet interesować, ale na tej zasadzie, na jakiej interesują figle. Tylko Pan te figle traktuje z powagą i to świadczy o pańskiej pisarskiej niedorosłości. Czego zresztą nie wypowiadam z przyganą. Trochę pohasania na początek nie zaszkodzi.

S. O. Zamość. Byłoby to nieźle, gdyby w końcu nie dający się odczuć nadmiar egotyzmu. Wiersz musi mieć jakieś elementy obiektywizacji, uogólnienia, prawdy intersubiektywnej. Przedmiotem prawdy intersubiektywnej może być nawet najtajniejsze doznanie, jako że nasze konstrukcje psychiczne mniej więcej są podobne, ale nie można w wierszu zawrzeć tylko jakiś prywatny sekrecik. Od prywatnych sekrecików są sztambuchy. Bez względu na to więc, że w tych dwu małych fragmentach można wyczuć znaczną ruchliwość wyobraźni, nie da się ich traktować z myślą o druku.

P. P. Gdańsk. Można znaleźć zainteresowanie dla tego rodzaju tekstów, ale nie można ich traktować pod kątem literackim. Nie dlatego, że literatura wymaga specjalnych kątów. Na odwrót: musi być w niej prawda życiowa, musi być język odpowiadający przedmiotowi. Ale materiał faktograficzny jako dokument w tym, co Pan napisał jest na tyle przeważający, że zajmuje całą uwagę czytającego właśnie poszczególnym, opisanym wydarzeniem. Nie ma w tekście odniesień do losów, mowa jest o losie. Pewnie, że każdy z nas jest w jakimś sensie reprezentantem całej ludzkości, ale w utworze literackim musi być poszerzenie perspektywy, które sprawia, że czytamy więcej, niż zostało napisane. Jakieś „szerzej", jakieś „w ogóle" — to jest konieczne nawet jako zawarte implicite.

J. Z. Hajnówka. Nie mogę powiedzieć, by Pana zainteresowanie poezją nie znajdowało legitymacji w nadesłanych tekstach. Jest w nich pragnienie tej poetyckiej Arkadii, którą znajdujemy w utworach największych. Wybiera Pan ze świata tony jasne, barwy dźwięczne. To dobrze. To świadczy, że nie uległ Pan epidemii turpizmu panującej we współczesnej naśladowczej poezji. Radziłbym jednak pozbyć się zbyt łatwych, a łudzących oryginalnością określeń w rodzaju „ptak serca bije o klatkę żeber". To już było powiedziane X razy. Szkoda takimi powtórzeniami psuć tego, co wyrosło jako świeże i własne.

R. K. Sanok. Mam do Pana pretensje: te wiersze nie wywierają wrażenia. Wiem, że to dla autora jest kamieniem obrazy, ale na mój gust za mało zawierają substancji lirycznej. A już całkiem nie do przyjęcia jest wiersz o Wietnamie oparty na realiach wyniesionych z prasowych komunikatów. Mam na myśli to, że widać w nim brak bezpośredniego doświadczenia osobistego, bez którego na ogół trudno o sugestywne spełnienie poetyckie.

G. P. Popławy, H. D. Włocławek, A. J. Busko-Zdrój, W. S. L. Gdańsk, S. J. Lipusz, J. B. Wyszków, K. P. Mielec, G. D. Bełżyce, B. S. Lublin, J. G. Lublin, S. W. Siedlce — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA
(nr 11)

Poziomo: 1 odgłos przewracanych kartek papieru, 5. na nocnym niebie, 9. bohater młodzieżowego serialu, 10. szeroki, na którym żyjemy, 11. z ilustracjami, 13. żona Zeusa 15. muszą być wyuczone przez aktora, 16. grupa samolotów, 18. praca, 20. ekspert, specjalista w jakiejś dziedzinie, 22. słynne uzdrowisko w Belgii, 23. piłka za boiskiem, 24. współczesny pisarz polski zmarły w 1971 roku autor „Twarzy przed lustrem", 25. niski głos kobiecy, 27. bohaterka elementarza, 29. wchodzi w skład Jugosławii, 31. najbliższy wstępny, 32. rodzaj napędu, 33. jeden z „Trzech muszkieterów", 35. kiepskie dzieło, 36. pisarz polski, autor „Żółtego krzyża", 38. zimowy wóz, 39. uzdrowisko koło Buska, 40. badanie chemiczne, 41. stolica Cypru.

Pionowo: 1. pisarka niemiecka, autorka „Siódmego krzyża", 2. wypływa z wulkanu, 3. sprzyjająca okoliczność, 4. staroegipski bóg księżyca, 5. zabawa lub loteria, 6. szczyt w Górach Bystrzyckich między Dusznikami i Polanicą, 7. ozdobny układ otworów, 8. przodek z portretu, 10. wkręt, 12. drzewo jedwabnika, 14. satyryk okresu międzywojennego o imieniu Świątopełk, 16. ognioodporny materiał do krycia dachów, 17. zagarnięcie obcych ziem, 19. miasto wojewódzkie na Śląsku, 21. wodze wierzchowca, 25. słynąca pięknością żona Peryklesa, 26. woreczek na pieniądze, 27. żeglowna rzeka we Francji, dopływ Oise, 28. lewa odnoga dolnej Wołgi, 30. pojedynczy papier, 31. plemię mongolskie zamieszkałe w Chinach, Mongolii i nad Wołgą, 34. całokształt cech charakterystycznych dla sztuki danej epoki, 35. wyświetla się w nim filmy, 37. dawna posiadłość portugalska w Indiach, 38. nocny wypoczynek.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

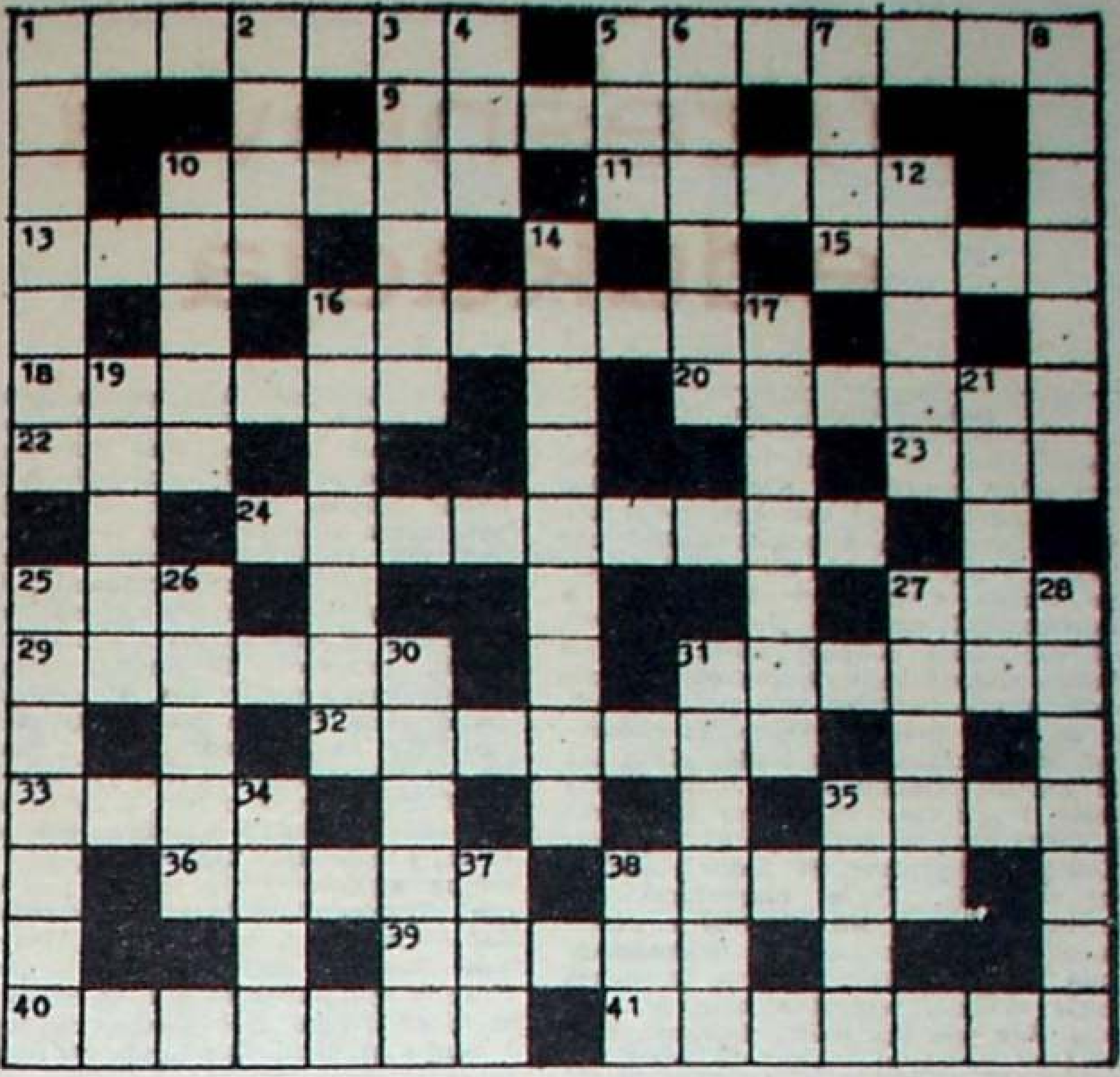

Rozwiązanie krzyżówki nr 9.

Poziomo: kreton, mięta, sanki, szarlotka, wolej, kraszanka, łuska, oczy, muchy, Bask, koks, Aida, stół, oktet, kura, pazur, galaktyka, Nandu, napęd, Szabelski, koszt, pałac, baszta.

Pionowo: ostrołuk, Angers, kiszka, Terpsychora, Bawa, Terlecki, sten, Gajcy, Arystoteles, kabat, kosta, osada, malwa, karencja, Afrodyta, Kongo, panika, zapasy, gusła, Lear.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 9 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Julian Mazurek 20-243 Lublin, Rutkowskiego 12/38, Andrzej Żyliński 20-[illegible] Lublin Balladyny 2/177 Zofia Piasecka 20-410 Lublin, 1 Maja 37/4, Tadeusz Ludwik Adolf 38-421 Kombornia woj. Krosno

Listy *do* kameny

CO BYŁO W ICA?

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

W latach sześćdziesiątych naszego wieku w okolicach miejscowości Ica (Peru), po tym, jak rzeka o tej samej nazwie gwałtownie zmieniła koryto, znaleziono około 20.000 rysunków na czarnych kamieniach. Precyzyjne rysunki wyryte cienką, wyraźną kreską na powierzchni tych twardych kamieni, przedstawiają takie, lub takim podobne istoty, zwierzęta „przedpotopowe", o których nauka mówi, że dawno już wymarły, mapy nieznanych kontynentów, itp. Jednakże godne podziwu jest to, że wiele wizerunków uwidocznionych na tych kamieniach niedwuznacznie wskazuje, że temu, kto wykonał te rysunki nie obce były przedmioty, które stanowią chlubę i dumę naszej cywilizacji. Są tam sceny przedstawiające skomplikowane operacje chirurgiczne (nawet na sercu i mózgu!), transfuzje krwi, wizerunki owych istot posługujących się różnego rodzaju skomplikowanymi urządzeniami i przyrządami, podobnymi takim, które wyprodukował dopiero nasz XX wiek. Otóż te właśnie „techniczyzmy historycznie niezgodne", skłoniły mnie do tego, by podjąć szereg starań i działań mających za główny cel bliższe poznanie tych kamieni, a zwłaszcza pokrywających ich powierzchnie rysunków.

Do bliższego zainteresowania się nimi skłoniło mnie również i to, że rysunki wykonane na tego rodzaju materiale (magmowa skała subwulkaniczna) zachowują swą „wiecznotrwałość" zarówno pod wodą jak i na powietrzu.

Skąd się te kamienie tam wzięły, nie wiadomo, ale wiadomo, że Andy — z geologicznego punktu widzenia — to góry bardzo młode. Pewien atlantolog angielski twierdzi, że Andy bardzo szybko wypiętrzają się z oceanu kosztem zapadania się Grzbietu Środkowoatlantyckiego.

Ica leży w odległości kilkunastu kilometrów od Pacyfiku, a — jak się przypuszcza — w niezbyt odległej przeszłości nawet jezioro Titicaca (zwane przez niektórych ufologów „jeziorem latających talerzy", bo czasem obserwowano tam przypadki wodowania tych obiektów), które obecnie znajduje się około 350 km od Pacyfiku (i które ma wodę słoną), kiedyś było zwykłą zatoką oceaniczną.

O ile jednak niemała chyba armia tzw. detektywów paleoastronautyki poszukiwała na kamiennych wizerunkach z Ica tego, czego chyba spodziewali się tam znaleźć, tak ja poszukiwałem rzeczy, których „nie powinno tam być". Jak wynika z moich ustaleń (prowadzonych zza biurka, głównie korespondencyjnie i telefonicznie), na kamiennych rysunkach z Ica nie można dopatrzyć się niczego, co wskazywałoby na to, że inteligentne istoty, które posługują się różnymi skomplikowanymi urządzeniami i które dokonują tak wyrafinowanych operacji chirurgicznych znają ogień. Nie ma tam żadnego ogniska, paleniska, fajki! Nie ma tam niczego, co przypominałoby otwarty zbiornik — najbardziej banalne naczynie, w jakim zwykle jada się lub pije. Nie ma tam również koła!

Nie można stwierdzić obecności tych powszednich przecież rzeczy na kilkunastu tysiącach kamiennych wizerunków z Ica, wśród których nie ma dwu jednakowych! O ile moje nieprecyzyjne przecież ustalenia zostaną potwierdzone bardziej szczegółowymi badaniami, wówczas okaże się, że owe kamienne wizerunki z Ica przedstawiają inteligentne istoty żyjące w środowisku ciekłym i są najpewniej przez te istoty sporządzone.

Pragnę ponadto podkreślić, że kamienne wizerunki z Ica przedstawiające takie właśnie, jak te istoty, są wykonane według jednego i tego samego szablonu, o jakiejkolwiek twórczości nie ma tu mowy!

Wszystkie kamienie z Ica znalezione w jednym miejscu, co wskazuje na swoiste „kamienne archiwum". Natomiast z rysunków umieszczonych na tych kamieniach zdaje się wynikać, iż jest to swego rodzaju epopeja podwodnej cywilizacji, swoisty przekaz historyczny typu „cywilizacja-cywilizacji". Kon-Tiki Biały Bóg Inków, zniknął w wodzie. Oannes, bardzo pracowity bóg Sumerów, który nauczył ich budowania, rzemiosła, kultury i sztuki, zniknął w wodach Zatoki Perskiej. Nommo, z mitu Dogonów, który w odległej przeszłości miał importować Murzynów aż z Syriusza, po wykonaniu wszystkich, niezbędnych czynności na lądzie wrócił pod wodę. Wondżiny, którym oddają boską cześć rdzenni mieszkańcy Australii, wyszli z morza, rządzą oni wodą i deszczem... Wspólnym dla wielu mitów, legend, przekazów i podań różnorakich ludów zamieszkujących naszą planetę jest to, że ich bogowie wychodzą, bądź też powracają pod wodę.

To jest zagadka ludzkiej cywilizacji. Czy zostanie rozwiązana? Wymienieni bogowie raczą wiedzieć. Przypuszczam jednak, że i nam, mieszkańcom Lublina, warto się nad tym zastanowić, a przynajmniej śledzić próby jej rozwiązania na arenie światowej.

Łączę wyrazy szacunku

Witold Wawrzonek
Lublin
Al. Spółdzielczości Pracy 63a

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
- do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
- do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
- do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
- do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamały: Grażyna Sztejke, Teresa Furman drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu [illegible]

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czyt. 2552/1979/11

Wrześniowa edukacja

Dokończenie ze str. 11

dzisiaj jest, wtedy kiedy go poznała, był tylko studentem. Ale miał wujka, który znał tego i tamtego, no i ten wujek dobrze nim pokierował. I co? Teraz, kiedy przyszło do czegoś, to tego wujka zostawił w Warszawie, a sam zwinął manatki. Jeszcze dobrze, że najbliższą rodzinę zabrał, bo po takim wszystkiego się można spodziewać. A wie pani, co ona przed chwilą do mnie mówiła? O co jej chodziło? Miała złoto. Nie takie złoto jak to na pierścionkach, ale całe sztaby złota. I tak się wahała, czy to zabrać z sobą, czy to gdzieś tutaj zakopać. Koleżanki byłyśmy. W jednej ławce śmy siedziały. Dwie nierozłączki — mówiono o nas. No, niechby zostawiła. Słowo honoru, żebym jutrzejszego dnia nie doczekała, żebym tu miała nagle skonać, wszystko bym jej oddała. Ale ona tak mówi do mnie, mówi i w pewnym momencie powiada: „A czy to dzisiaj komuś można ufać? Ja ci to zostawię, potem wrócę i śladu nie będzie. Po sądach będę chodzić, czy co?" Ale mnie ruszyło! Jak ja jej wygarnęłam! No i teraz pani mi pomogła. Co się dzieje z ludźmi? Co robi to złoto? Po co ludziom ten metal? Pani Kozakowa, ja nigdy pani tego nie mówiłam. My tu tak żyjemy po sąsiedzku, ale nikt się w prywatne sprawy nie miesza, nikt nikomu z butami do serca nie wchodzi. Różnie ludzie mówili, jak przyszła policja i pani męża zamknęli. Ale ja wiem, że pani mąż to ludzki człowiek. Zawsze przywitał się, w rękę pocałował, a kiedyś, kiedy to mój stary nie miał pracy, kiedy go z fabryki na bruk wyrzucili, przyszedł do mnie i zapytał, czy mi czego nie trzeba. Proszę pani, dwadzieścia złotych nam pożyczył. A pani wie, że mój mąż nigdy z komuną nie trzymał. Ale zobaczył, że właśnie komuna mu pomogła, a nie ci, którym zawsze służył. I dzisiaj mój mąż to inny człowiek. On wierzy, że tę wojnę wygramy, ale patrzy już inaczej. Trzeba się było z Ruskimi dogadać — mówi. A on przecież kiedyś z tymi Ruskimi pod Kijowem wojował i ranny był. Jak ktoś był czerwony, to na niego działało jak płachta na byka. I pani mąż, pani Kozakowa, pani mąż, czerwony przecież, co tu gadać, przyszedł do niego w tych trudnych chwilach, chociaż prawie z sobą nie rozmawiali, wilkiem na siebie patrzyli. I wyjął te dwadzieścia złotych, dał mu, nie pytając, kiedy odda. Pani wie, że mój stary pół nocy przesiedział, popłakał się i coś się w nim odwróciło.

Stałem i słuchałem. Tomek stał i słuchał. Wojtek słuchał. Zula słuchała. Matka słuchała. „Mucha" słuchał. Pani Jadwiga, która też się tutaj zjawiła, też słuchała. Wszyscy słuchali.

— Oddał pani mężowi te dwadzieścia złotych. Oddał, oddał, kiedy ten COP zaczął się budować, kiedy kryzys zaczął iść ku końcowi...

— Nic mi mąż nie mówił, że coś komuś pożyczał...

— To może miał schowane. Każdy mężczyzna musi mieć schowane. Jeden wyda na wódkę, drugi na łachudry, a trzeci komuś w biedzie pomoże. Trzymajmy się razem, pani Kozakowa. Ludzie, którzy pazury od pracy mają zdarte, muszą z sobą trzymać. I wtedy nikt nam nic złego nie uczyni... Oj, lecę, mleko mi wykipi...

— Pani Woźnicka — powiedziałem — już dawno wykipiało!

Wróciliśmy do domu.

— Zrobię wam herbaty — zaproponowała matka.

— Ja zrobię, ja zrobię, niech pani siedzi... — pani Jadwiga pobiegła do kuchni.

— Przepraszam pana, panie Muchorowski. Bardzo pana przepraszam. Nie mogłam się opanować. — Matka usiadła na krześle i odgarnęła włosy z czoła. — Nie powinnam tego mówić. Ja wiem, że nie powinnam, ale nie mogłam się powstrzymać. Czasami przychodzi na człowieka taka chwila, że musi... Że nie może zapanować nad sobą, że nie może tego, co czuje, ciągle w sobie tłumić. I ciebie, Kaziku, i ciebie... jak ci na imię? — zwróciła się do Tomka — przepraszam...

— Tomek...

— No właśnie, zapomniałam. I ciebie, Tomku...

— Proszę pani — odezwał się Tomek, który stale mnie zadziwiał — pani nie ma za co przepraszać. My, to znaczy Kazik, to znaczy ja, wcale już nie jesteśmy dziećmi. Ja dzisiaj bardzo wiele zrozumiałem z tego, co pani powiedziała. I ja bym tu chciał zostać. Ja bym nie chciał dalej jechać. I może mamusia tu zostanie? Pani myśli, że mnie jest dobrze, kiedy tatuś tu, a mamusia tam? Pan Jerzy jest dla mnie dobry, ale pan Jerzy to nie tatuś. Pan Jerzy cały czas tylko mówi o pieniądzach. Że niby tylko pieniądze dają szczęście. Że bez pieniędzy człowiek jest zerem. Tylko zerem tak mówi pan Jerzy. I zawsze pierwszego daje mi pięć złotych. Mówi, że to na moje wydatki, że ja jestem duży i że czasem muszę sobie to czy tamto kupić. A ja wydam złotówkę i cztery złote dam na PKO. Jakbym nie miał tej książeczki PKO, to też byłoby dobrze...

— Tomku... — „Mucha" wziął syna na kolana. — Ciężki jesteśmy — powiedział. Gładził jego włosy, całował... A ze mną działo się coś niedobrego. Jak bym chciał, aby teraz był tu ze mną mój tata. Mój tata, chociaż zawsze mówiłem do niego bardziej szorstko, bardziej oficjalnie „ojcze", i myślałem też *ojciec* a nie tata. Może słowa nie mają znaczenia. Tata, ojciec to jedno i to samo. Tata miał jednak dla mnie zawsze mało czasu. Tłumaczył się, przepraszał nawet, ciągle gdzieś chodził, przemawiał zawsze działał, mówił, że tyle jest poważnych spraw na głowie, że kiedyś, kiedyś w przyszłości zawsze już będziemy razem. I tak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem... Był ojciec i go nie było. Był tata i go nie było. „Ty mnie kiedyś zastąpisz. Tak bym chciał, żeby ci się życie inaczej ułożyło... Staram się o to. Myślę o tym... Mój ty, Ko czyno..."

— Herbata gotowa! — Pani Jadwiga przyniosła napełnione kubki.

Marek Adam Jaworski

Roman Gorzelski

BAJKI

O PRZYMIERZU

Szukał wróbel z kotem
przymierza.
Pozostała z niego garść
pierza.

O KRYTYCE

Skrytykował raz zając
Niedźwiedzie rzemiosło.
Nie wiedział, że tym samym
Naraził się osłom.

MUCHA I WÓŁ

Nie chwal się swą
wielkością —
rzekła mucha do wołu —
bo nie wiesz kto i kiedy
poda cię do stołu.

DIALOG PAPUZI

— Z tych wierszy taka
korzyść,
jak z grochu o ścianę.
— To nic, mam jeszcze
szansę:
krytykiem zostanę!

SKĄD ICH ZNAMY?

Jan Kobuszewski

Rys. Zygmunt Pyłak

Rys. Andrzej Kot

Andrzej Lipiński

MINI-ENCYKLOPEDIA MEDYCYNY w zarysie (II)

Obrażenia — patrz obrażenia cielesne.
Obrażenia cielesne — rękodzieło wymagające opieki lekarskiej.
Przeszczep — przywłaszczenie cudzej własności.
Stłuczki — ofiary wypadku drogowego.
Subskrypcja — pojęcie nieznane zupełnie w medycynie. Zdrowia nie można zaprenumerować. Zdrowie można najwyżej zrujnować.
Yeti — ostatni człowiek, którego nie udało się objąć opieką lekarską społecznej służby zdrowia.
Zastrzyk — metoda straszenia dzieci zastępująca coraz częściej kominiarza i Babę-Jagę.
Zebra — patrz żebro Adama.
Żebro Adama — metoda rozmnażania, która nie znalazła naśladowców.

Jacek Masiarski

Rys. Jacek Frankowski